MAGAZYN

POLSKA
METROPOLIA WARSZAWSKA

19 lat

Piątek–niedziela, 18–20.09.2026

www.i.pl

Nr 75 (2586)
Cena **7,00 zł**
(w tym 8% VAT)
Nr ISSN 1898-3081
Nr indeksu 349-682



DRONY, ALERTY RCB, MYŚLIWCE W POWIETRZU. DO CZEGO MOŻE POSUNĄĆ SIĘ PUTIN?
– Str. 6–7

O SZALONEJ EKRANIZACJI „LALKI" OPOWIADA FILMOWY WOKULSKI – TOMASZ SCHUCHARDT
– Str. 14–17

WOJCIECH CHMIELARZ, AUTOR KRYMINAŁÓW, O CZARNEJ STRONIE LUDZKICH DUSZ
– Str. 20–22

TELEMAGAZYN

• „Dobry chłopiec". Ten film Jana Komasy robi ogromne wrażenie • „Igrzyska śmierci". Ballada ptaków i węży

– Str. 8–10

ŚWIAT ANNO DOMINI 2027

GEORGE FRIEDMAN, SŁYNNY GEOSTRATEG, O ROSJI, BLISKIM WSCHODZIE I SZANSACH POLSKI

Krzyżówka / Sport / Z życia Warszawy

BT

9 771898 308059 38

eprasa.pl dcbe6e08c7

Na okładce



BT

– Nie możemy traktować Rosji poważnie jako potęgi militarnej. Przecież ona nie była w stanie zająć Ukrainy przez cztery lata. To nie jest nawet potęga regionalna – mówi George Friedman

s.5

Plan Donalda Tuska był prosty: Maciej Berek ma zaprowadzić porządek w TK. To możliwe?

s.6–7

Putin się nie zatrzymuje. I nie chodzi mu już tylko o Ukrainę. Prowokuje NATO i Polskę. Jak daleko może się posunąć?

s.12

Dr Bartłomiej Biskup: Dzisiaj nie mamy już duopolu PiS-PO, ale mamy duopol blokowy. To już nie są tylko dwie partie polityczne, ale raczej dwa bloki grupowe

s.14–17

Recenzja absolutnie szalonej ekranizacji „Lalki" wyprodukowanej przez Netflix

s.24

Magdalena Katarzyna Bajor: Najczerwieńsze jabłka są zawsze tam, skąd musieliśmy odejść

WARSZAWA STR. 30
SPORT STR. 31

Drony przy granicy i w Bałtyku
Z Bałtyku wyłowiony został rosyjski dron. Inne spadły na cele tuż przy granicy polsko-ukraińskiej.





Tomasz Schuchardt
Opowiada o swoim pomyśle na rolę Wokulskiego, koncepcji nowej ekranizacji dzieła Bolesława Prusa, która właśnie podbija świat.

FOT. NETFLIX, PAP/ADAM WARŻAWA

POLECAMY

PONIEDZIAŁEK: Dramatyczne skutki odchudzania

POLSKA METROPOLIA WARSZAWSKA

Redaktor naczelny
Arlena Sokalska
Z-ca redaktora naczelnego
Agaton Koziński
Redaktorzy
Anita Czupryn
Dorota Kowalska
Mariusz Grabowski

www.i.pl

Polska Press
Makroregion Wschód
Redakcja
ul. Domaniewska 45
02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Prezes Makroregionu
Aureliusz Mikos
Dyrektor reklamy
Witold Trzciński
Biuro reklamy oddziału
tel. 698 635 707
Druk
Drukarnia ZPR Media S.A.,
04-190 Warszawa, ul. Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA

Wydawca Polska Press Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10
p.o. Prezes Zarządu Polska Press Grupy
Elżbieta Żuraw
Redaktor naczelny Polska Press Grupy
Marek Twaróg
Projekt graficzny, dyrektor artystyczny PPG
Tomasz Bocheński
Dyrektor kolportażu PPG Tomasz Osoliński
Biuro Konsumenta PPG
biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.i.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

18.09.2026. Dzień dobry

Nie możemy dać się zastraszyć

Od dłuższego już czasu Federacja Rosyjska testuje NATO – jak daleko może się posunąć. Na razie posunęła się do tego, że wschodnie rubieże Polski naprawdę czują, że są krajem przyfrontowym. Właściwie prawie codziennie mieszkańcy Lubelszczyzny i Podkarpacia dostają alerty RCB, wyją syreny, ostrzegając przed zagrożeniem z powietrza, a na niebie widać myśliwce.

Drony z napędem odrzutowym (najnowszy, bardzo groźny wynalazek Rosjan) wybuchają kilka kilometrów od polskiej granicy, rażąc stacje benzynowe czy lokomotywy pociągów. I choć wojna za naszą wschodnią granicą trwa już ponad cztery lata, właściwie dopiero w ostatnim czasie zaczynamy naprawdę się czuć jak kraj przyfrontowy. Premier Donald Tusk otwarcie mówi, że według danych wywiadowczych Federacja Rosyjska planuje uderzenia dronami i rakietami w kraje pomagające Ukrainie, w tym Polskę.

Bo Rosja eskaluje, chce zastraszyć całą Europę, zmusić ją do tego, by przestała naszym sąsiadom pomagać. Można sobie wyobrazić scenariusz, w którym Putin posunie się jeszcze dalej w tym wojennym nękaniu: uzbrojone drony lub rakiety będą wlatywać w przestrzeń powietrzną Polski. Albo któregoś z państw bałtyckich. Albo wszystkich naraz. Będzie trzeba je zestrzeliwać, będą wybuchy, ludzie na dźwięk syren alarmowych będą chodzić do schronów i miejsc ukrycia. Bo na razie tego nie robią.

Pojawi się element chaosu nie tylko w państwach należących do NATO, ale również w całej Unii Europejskiej. Ukraina zostanie sama, szybciej będą upadać jej fortece na Wschodzie. Kreml zajmie cały Donbas i będzie mógł odtrąbić zwycięstwo.

Scenariusz zbyt nieprawdopodobny? Być może.

A z drugiej strony przed rozpoczęciem agresji na Ukrainę nawet poważni analitycy twierdzili, że Putin nigdy nie rozpocznie pełnoskalowej wojny.

George Friedman, założyciel i szef Stratfor, zwanego „prywatnym CIA", uspokaja (wywiad na str. 8–10). Według geostratega Rosja nigdy nie odważy się zaatakować kraju, w którym są amerykańscy żołnierze. Obecnie jest ich w Polsce ok. 10 tys., zbliżamy się prawdopodobnie wielkimi krokami do ogłoszenia decyzji o powstaniu w naszym kraju stałej bazy US Army. Oby tak się stało i oby nastąpiło to jak najszybciej. Friedman właśnie w obecności amerykańskich żołnierzy widzi najlepszy bezpiecznik. Na pytanie, czy Putin odważyłby się zaatakować jakiś kraj NATO, np. Łotwę, mówi: „Nie można tego wykluczyć, on może chcieć przestraszyć Europę, sprawdzić ją. Największym sprawdzianem byłaby dla niego Polska. Choć widać, że już teraz próbuje wywołać u was panikę, ale wy nie panikujecie".

I dodaje: „Proszę pamiętać, że w krajach wschodniej flanki, także bałtyckich, zostali rozmieszczeni żołnierze USA. Putin nie jest na tyle szalony, by się zdecydować na starcie z amerykańskim batalionem i wygranie go. Bo jeśli zginą żołnierze amerykańscy, to wtedy wkroczymy z pełną siłą. To mogę obiecać".

Tyle jeden z najważniejszych światowych geostrategów. Czy ma rację, że Putin na nic się nie odważy?

Myślę, że to zależy też od nas, od naszych władz, od całego społeczeństwa.

Jedno jest pewne, nie możemy się dać zastraszyć ani dać się przekonać rosyjskiej propagandzie, że powinniśmy głośno powtarzać „nasza chata z kraja" i siedzieć cicho. To nie doprowadzi do niczego dobrego. Putin zna tylko język siły.

ARLENA SOKALSKA
red. nacz. „Polski"



ZESKANUJ KOD

- Wiadomości z kraju i ze świata znajdziesz na **i.pl**
- Jesteśmy obecni w 20 największych polskich miastach
- Treści regionalne łączymy z publicystyką, a także materiałami wideo

AUTOPROMOCJA

Prenumeruj „Polską Metropolię Warszawską"

tel. 12 312 53 88
bok.prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

eprasa.pl dcbe6e08c7

Z CZEGO JUTRO ...?

Andrzej Sadowski
Centrum im. Adama Smitha



O jawność życia defraudacyjnego, czyli transparentność wenalności urzędów

W Polsce następuje zmiana jakości funkcjonowania tzw. świata politycznego, gdyż jego defraudacyjne i korupcyjne życie staje się jawne bez większych konsekwencji moralnych oraz prawnych w wyniku zmiany „podstaw programowych" w warstwach rządzących. Latami porzucano odwoływanie się do nauk moralnych m.in. ks. Józefa Tischnera, swego czasu ulubionego autorytetu parających się polityką. Rozmach jawności i przyswajalności defraudacji i korupcji ponad podziałami politycznymi przekracza dotychczasową skalę i świadczy o ich coraz bardziej pełnoskalowej „ukrainizacji". Nie jest to już zbiór jednostkowych patologii moralnych, lecz objaw powrotu instytucji państwa do czasów patologii transformacji. Skoro rozkład wskazań dotyczących zaangażowania w defraudowanie i korumpowanie obejmuje praktycznie wszystkie aktywne strony polityki, to czas najwyższy zastosować do nich historycznie sprawdzone rozwiązania zwłaszcza w obliczu destabilizacji finansów publicznych i poszukiwania nowych źródeł dochodów.

Skoro usankcjonowana ponad podziałami politycznymi praktyka sprawowania władzy monetyzuje swoje korzyści poprzez rozdawanie urzędów, to rządzący powinni zapoznać się z tezami „Pięciu ksiąg o prawie dotyczącym urzędów" „Cinq livres du droit des offices" Charles'a Loyseau, w którego czasach urząd traktowany był jako inwestycja. Sytuacja jest ponadczasowa, bowiem zarówno w roku publikacji w 1610, jak i dziś urząd jest elementem trwałej funkcji publicznej, ustanowionej dla sprawowania władzy, sądownictwa, administracji lub służby królowi, a dziś ludowi zwanego suwerenem. Urząd daje władzę, honor, dochód i przywileje, ale jego sens pozostaje publiczny. Definiuje państwo jako porządek zbudowany z hierarchii funkcji, kompetencji, nominacji, instalacji, odpowiedzialności i utraty urzędu, co jak widać jest pożądane zarówno w monarchii, jak i w demokracji.

Przed publikacją „Pięciu ksiąg o prawie dotyczącym urzędów", sprzedaż tychże urzędów była głęboko problematyczna, ale była powszechnym faktem ustrojowym, podobnie jak dziś w ramach „political patronage". Praktyka rozdzielania przez polityków dóbr takich jak stanowiska, przywileje, w tym podatkowe, kontrakty, koncesje czy inne korzyści materialne jest ponadczasowa i ponadustrojowa.

Skoro „venalité des offices", sprzedajność urzędów ipso facto et mechanismo jest nieunikniona i jest fundamentem każdego ustroju, co Charles Loyseau krytykuje wprost jako sprzeczne z rozumem i dlatego jego zdaniem urząd powinien przypadać cnocie i kompetencji, nie pieniądzom. Jednak „venalité des offices" jest praktyką tak utrwaloną, że prawo musi ją regulować, stąd jego propozycje wenalności, czyli sprzedajności urzędów. Od czasu przedrewolucyjnej Francji urząd publiczny jest w praktyce wciągnięty w logikę rynku i prawa prywatnego.

Uwspółcześniając propozycje Charles'a Loyseau, naprawa sprzedajności urzędów zaczyna się od powołania takiego urzędnika, który posiada kompetencje nie dlatego, że urząd „należy" do jego partii, lecz dlatego, że został prawidłowo powołany, przyjęty i umocowany. Ponadpartyjnie powinna zostać przyjęta procedura ponad podziałami dotycząca podziału łupów oparta na odpowiedzialnym wykonywaniu funkcji. Honor i profity oraz przywileje urzędu stają się legalne, ale nie mogą przesłonić funkcji publicznej. Dzisiaj ten stan ma miejsce w praktyce, ale nie jest do końca usankcjonowany prawnie. Korzystanie przez sprawujących władzę np. z uprzywilejowanego dostępu do usług medycznych, co i tak ma przecież miejsce, powinno mieć rangę gwarancji w konstytucji, skoro łatwiej jest im ją zmienić niż patologiczną służbę zdrowia. Utrzymywanie niedookreślonego związku między urzędem jako źródłem prywatnego zysku a urzędem jako służbą publiczną jest źródłem defraudacji i korupcji. Jedynym skutecznym rozwiązaniem jest transparentne wynagrodzenie dla premiera, ministrów i parlamentarzystów wyłącznie z podatków obywateli, jak ma to miejsce w Singapurze, w którym właśnie premier tego państwa ogłosił waloryzację wynagrodzeń dla profesjonalnej kadry rządzącej. Roczne zarobki premiera w przeliczeniu na złote wynoszą ok. 10,6 miliona, czyli miesięcznie ok. 882 tysięcy, a ministra ok. 3,5 do 4 docelowo ok. 5,3 miliona. Jeżeli obywatele Polski nie będą finansować na antykorupcyjnym poziomie wybranych przez siebie polityków, to zrobią to inni, zważywszy, że roczne łączne wynagrodzenie ich premiera naszego państwa wynosi netto 186 tysięcy złotych, a prezydenta ok. 223 tysięcy.

Z „Pięciu ksiąg o prawie dotyczącym urzędów", aktualność zachowały również rozdziały o wakatach, rezygnacji, utracie urzędu, konfiskacie, ściganiu urzędników i nadużyciach oraz o pogodzeniu ideału monarchii urzędniczej, a dziś demokracji również urzędniczej z realiami fiskalnymi. Partie, podobnie jak król, potrzebują pieniędzy ze sprzedaży urzędów, ale państwo nie może funkcjonować bez kompetentnej i lojalnej administracji.

Skoro rządzący w Polsce przyjmowali już m.in. „Kodeks Dobrych Praktyk Nadzoru Właścicielskiego", to czas najwyższy na publiczny przetarg na „Kodeks Dobrych Praktyk Wenalności Urzędów".

Andrzej Sadowski założyciel i prezydent Centrum im. Adama Smitha - pierwszego w Polsce think tanku, działającego od 16 września 1989 roku

MATERIAŁ INFORMACYJNY ORLEN 0011584102

ORLEN rozwija współpracę z przewoźnikami. Potrzebuje silnego łańcucha dostaw

Nawet miliard złotych rocznie ORLEN wydaje na transport drogowy swoich produktów. Koncern, który obsługuje 13 tys. miejsc dostaw w 30 krajach, rozwija współpracę z przewoźnikami i zachęca kolejne polskie firmy do wejścia do swojego łańcucha dostaw.

O skali tych potrzeb rozmawiano podczas Forum Dostawców dla branży logistyki i transportu, które odbyło się w Żninie w ramach programu „Partnerzy Energii Jutra". W wydarzeniu uczestniczyli przedstawiciele 350 firm transportowych, logistycznych i spedycyjnych z całej Polski. Około połowa z nich nie miała dotąd bezpośrednich relacji biznesowych z ORLENEM.



14 milionów ton produktów i miliard złotych na transport

Podczas spotkania przedsiębiorcy poznali m.in. kryteria oceny dostawców, wymagania operacyjne oraz rozwiązania flotowe wykorzystywane przez koncern, które mają wspierać optymalizację kosztów.

O skali działalności Grupy ORLEN mówiła Diana Batko, wiceprezes Zarządu ds. logistyki i zakupów:

– Żeby pokazać skalę działalności ORLENU, warto skupić się na czterech liczbach: 1 miliard złotych rocznie wydatków na transport drogowy, 14 milionów ton przewiezionych produktów, 13 tysięcy miejsc dostaw w 30 państwach i 14 spółek w 7 krajach. To skala, która stawia ORLEN wśród największych zleceniodawców transportu drogowego w Polsce – wskazywała.

Wiceprezes podkreśliła, że za sprawnym funkcjonowaniem łańcucha dostaw stoją przede wszystkim kierowcy i dyspozytorzy. Zaznaczyła również, że własna flota koncernu nie jest w stanie obsłużyć wszystkich przewozów.

– Zewnętrzni przewoźnicy są trwałym elementem naszego łańcucha dostaw. Potrzebujemy silnego ekosystemu partnerów, którzy będą rozwijali się razem z nami.

380 miliardów złotych inwestycji i szansa dla polskich firm

Rozwój współpracy z sektorem transportowym jest związany z planami inwestycyjnymi Grupy ORLEN. Do 2035 roku koncern zamierza przeznaczyć na rozwój blisko 380 mld zł, co oznacza również rosnące zapotrzebowanie na usługi logistyczne i transportowe.

Jednym z filarów programu „Partnerzy Energii Jutra" jest local content, czyli zwiększanie udziału polskich przedsiębiorstw w realizacji inwestycji i zadań Grupy ORLEN. Dla krajowych firm oznacza to możliwość nawiązywania długoterminowej współpracy i rozwijania działalności.

Szeroki zakres potrzeb zakupowych koncernu przedstawił Roman Kowszewicz, dyrektor wykonawczy ds. zakupów:

– Z perspektywy zakupów Grupy ORLEN nabywamy szeroki zakres produktów i usług – od wyposażenia stacji, przez rzepak, biokomponenty i elementy farm wiatrowych, po usługi transportowe. Wszystko to wymaga sprawnej logistyki, z zachowaniem terminowości, jakości i bezpieczeństwa. Zależy nam, aby jak największy udział w tych przedsięwzięciach miały polskie firmy. Chcemy rozwijać tę współpracę i budować wspólną, zintegrowaną logistykę.

Przewoźnicy: ORLEN jako partner rozwoju

Dla firm transportowych współpraca z dużym, stabilnym odbiorcą usług może być impulsem do rozbudowy działalności. Piotr Groeger, prezes Zarządu Grupy Solidaris, wspominał o znaczeniu rozpoczęcia współpracy z koncernem:

– Gdy zaczynaliśmy, mieliśmy już co prawda paru znaczących klientów w naszym portfolio, ale ORLEN stał się swoistą perłą w koronie i idealnie wpisywał się w plan naszego działania. To było dla nas jak wiatr w żagle – mówił.

ORLEN podkreśla, że w relacjach z przewoźnikami liczy się przede wszystkim długofalowa współpraca, przewidywalność i wspólny rozwój.

– Stawiamy na współpracę z takimi partnerami, którzy nie chcą być przewoźnikiem jednego zlecenia, ale chcą z nami budować bezpieczne, efektywne, nowoczesne łańcuchy dostaw – powiedziała Agnieszka Trębicka, Dyrektor dyrektor Biura Zakupów Bezpośrednich w Grupie ORLEN.

– Te relacje powinny być oparte na odpowiedniej komunikacji, transparentności, poszukiwaniu optymalnych rozwiązań. To właśnie są „partnerzy energii jutra" – dodał Jarosław Mazgaj, Kierownik kierownik Działu Zakupów Logistycznych w ORLENIE, rozwijając także skrót nazwy koncernu jako: Odpowiedzialność, Rozwój, Ludzie, Energia oraz Niezawodność.

eprasa.pl dcbe6e08c7

CO ZA TYDZIEŃ

Przygotował **AGATON KOZIŃSKI**
zastępca redaktora naczelnego
„Polski Metropolii Warszawskiej”



13.09 NIEDZIELA

„Gdyby Rosja nas zaatakowała, a my przestalibyśmy się ograniczać, sądzę, że pokonalibyśmy Rosję dość szybko. Mamy przytłaczającą przewagę w siłach powietrznych” – mówił Radosław Sikorski.

Wicepremier i szef MSZ powiedział to podczas konferencji w Kijowie. I doczekał się odpowiedzi. „Polskie państwo przestanie istnieć w ciągu dwóch do trzech dni” – zareagował na jego słowa Nikołaj Patruszew, jedna z najważniejszych osób w otoczeniu Putina



16.09 ŚRODA

Nieoczekiwanie Rafał Modrzewski (na zdjęciu po prawej) i Pekka Laurila znaleźli się w centrum wydarzeń przy okazji wygłaszania orędzia o stanie Europy przez przewodniczącą Komisji Europejskiej. Ursula von der Leyen wskazała założycieli firmy ICEYE jako przykład inwencji na naszym kontynencie.

„Historia ICEYE pokazuje, że Europa jest kolebką innowacji. Cieszę się, że założyciele są dziś z nami” – mówiła Ursula von der Leyen podczas swego wystąpienia, jej najważniejszego przemówienia w rocznym cyklu. Akurat wybór tego przedsiębiorstwa idealnie pasuje jako potwierdzenie przydatności europejskiej idei. Modrzewski i Laurila poznali się bowiem na studiach – w czasie studenckiej wymiany w ramach unijnego programu Erasmus

16.09 ŚRODA

Magdalena Andersson, liderka Szwedzkiej Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej, zostanie prawdopodobnie nowym premierem Szwecji. Po długim liczeniu wyników niedzielnych wyborów okazało się, że to jej ugrupowanie odniosło w nich zwycięstwo. Teraz przed Andersson trudne zadanie zbudowania koalicji





14.09 PONIEDZIAŁEK

Zarząd PKOl-u odwołał prezesa Radosława Piesiewicza. W jego miejsce wybrano Mariana Kmitę jako pełniącego obowiązki prezesa. Dostał 43 głosy, podczas gdy dziewięciu działaczy PKOl było przeciwko jego kandydaturze.

Wybór nowego prezesa komitetu był konieczny po tym, jak Piesiewicz został pod koniec sierpnia zatrzymany w wyniku zarzutów związanych z aferą giełdy kryptowalutowej Zondacrypto

15.09 WTOREK

Andrzej Poczobut bez problemów wrócił do Polski. Ten publicysta i działacz polonijny wyjechał tydzień temu na Białoruś – po raz pierwszy od chwili, gdy został zwolniony z tamtejszej kolonii karnej. Gdy wjeżdżał do Grodna, nie brakowało głosów, że znów zostanie zatrzymany. Nic takiego nie miało miejsca. Poczobut spotkał się z rodziną, przyjaciółmi, a także działaczami zdelegalizowanego Związku Polaków na Białorusi. Wraz z jego powrotem do Polski pojawiła się informacja o uwolnieniu kolejnych 25 więźniów politycznych przez władze Białorusi





16.09 ŚRODA

Noblista Victor Ambros został Polakiem. Amerykański biolog, związany z University of Massachusetts Medical School, otrzymał Nobla w 2024 r. za odkrycie mechanizmu, który pomaga zrozumieć rozwój chorób autoagresywnych, nowotworów czy cukrzycy. Teraz przypomniał sobie o swoich polskich korzeniach (jego ojciec urodził się przed wojną na terenie Wileńszczyzny) i wystąpił o polski paszport. Jak twierdzi, zrobił to w hołdzie dla swoich przodków

16.09 ŚRODA

Warszawa zaczyna walkę z hulajnogami. Rafał Trzaskowski zaczął egzekwować ograniczenia w ich parkowaniu.

Źle stojące jednoślady są odwożone przez służby miejskie. ZDM w ciągu kilku dni odholował ponad 140 hulajnóg

17.09 CZWARTEK

3-4 kilometry od polskiej granicy (po stronie ukraińskiej) rozbił się niezidentyfikowany obiekt, najprawdopodobniej rosyjski dron. Obiekt był obserwowany przez polskie służby, które były gotowe go zestrzelić, gdyby przekroczył granicę naszego kraju.

17 września przypada rocznica radzieckiej agresji na Polskę w 1939 r. Głośna eksplozja przy polskiej granicy natychmiast została z tym powiązana

FOT. PAP/EPA/RONALD WITTEK, PAP/LESZEK SZYMAŃSKI, ANDRZEJ POCZOBUT

eprasa.pl dcbe6e08c7

POLITYKA

Maciej Berek czeka na ruch prezydenta

Maciej Berek został wybrany przez Sejm na sędziego Trybunału Konstytucyjnego. Prezydent ma do jego kandydatury wątpliwości. Spór trwa. Tymczasem sam Trybunał Konstytucyjny jawi się dzisiaj jako instytucja bez żadnego autorytetu, a kto wie – za chwilę być może także bez pieniędzy na dalsze funkcjonowanie

Dorota Kowalska



FOT. ADAM JANKOWSKI

Plan Donalda Tuska był prosty: Maciej Berek, jego prawa ręka, został wysłany do TK, aby zaprowadzić w nim porządek

– Tak długo, jak pogoda będzie pozwalać, będziemy spotykać się w centrum miasta. A kiedy przyjdzie jesień i zima, przeniesiemy wydarzenia do food halli i innych ciepłych przestrzeni zamkniętych – mówi Michał Czyżewski, współtwórca aplikacji PicMe.

Ta decyzja premiera wzbudzała spore kontrowersje. Donald Tusk – mimo zastrzeżeń, także prawników – postawił na swoim: Maciej Berek, jego zaufany człowiek, minister do spraw nadzoru nad wdrażaniem jego polityki, pożegnał się z rządem i został kandydatem na sędziego Trybunału Konstytucyjnego. Na początku września Sejm zagłosował za jego kandydaturą.

Teraz ślubowanie od Macieja Berka powinien odebrać prezydent, ale nie odbiera. Za to szef kancelarii prezydenta Zbigniew Bogucki poinformował, że podpisał pismo skierowane do marszałka Sejmu Włodzimierza Czarzastego z pytaniami dotyczącymi „wyjaśnienia okoliczności procedowania formalnie kandydatury" Berka na sędziego TK. Jak twierdzi Bogucki, „są gigantyczne wątpliwości co do tego, czy pan minister Berek ma dziesięcioletni staż radcy prawnego".

„Najpoważniejszym zarzutem jest brak potwierdzenia, że spełnia on wymóg wykonywania w Polsce przez co najmniej dziesięć lat zawodu radcy prawnego" – czytamy w dokumencie.

W imieniu parlamentu, prezydentowi i jego współpracownikom odpowiedział Marek Siwiec, szef Kancelarii Sejmu.

„Konstytucja nie przewiduje udziału Prezydenta RP w procedurze wyboru sędziego TK przez Sejm. Marszałek Sejmu oczekuje niezwłocznego przyjęcia ślubowania od sędziego Macieja Berka, wybranego przez Sejm 4 września" – zauważył. „Skierowane do marszałka Sejmu pismo kwestionujące prawidłowość wyboru przez Sejm pana Macieja Berka na stanowisko sędziego Trybunału Konstytucyjnego nie ma oparcia w jakichkolwiek przepisach prawa powszechnie obowiązującego o charakterze materialnoprawnym czy proceduralnym" – czytamy dalej w piśmie skierowanym do Kancelarii Prezydenta.

W dokumencie wskazano, że przepisy konstytucji „kategorycznie wykluczają możliwość oceniania przez prezydenta zasadności dokonanego przez Sejm wyboru sędziego TK. „Stanowiłoby to bowiem wyraźne pogwałcenie zasady podziału władzy i naruszałoby jej równowagę przewidzianą przez ustawę zasadniczą" – oświadczył szef Kancelarii Sejmu.

Ale dyskusja o kompetencjach Macieja Berka trwała także w mijającym tygodniu.

Rzecznik prezydenta Rafał Leśkiewicz, pytany w środę, kiedy Berek może spodziewać się zaproszenia na zaprzysiężenie, powiedział, że najpierw „przede wszystkim należy rozwiać wszelkie wątpliwości dotyczące spełnienia wymogów formalnych przez pana Macieja Berka".

Jeszcze tego samego dnia Maciej Berek w TVP Info odpowiedział Leśkiewiczowi.

– Ja jestem pierwszą osobą, która jest zainteresowana, żeby tę dziwną dyskusję przeciąć. To jest proste, ponieważ wykonywanie przeze mnie zawodu radcy prawnego jest udokumentowane w jedynym miejscu, w którym może być udokumentowane, czyli w ewidencji radców prawnych. Jako radca mam obowiązek takie informacje przekazywać Okręgowej Izbie Radców Prawnych – powiedział. – To jednak nie jest problem. Gdyby ktoś z otoczenia prezydenta chciał, to takie dokumenty by znalazł. Ja je przedstawiałem, tłumaczyłem, one są publicznie dostępne – dodał. Poinformował również, że zamierza skierować do Kancelarii Prezydenta pismo z odpowiedzią na wątpliwości Karola Nawrockiego.

Maciej Berek podkreślił, że prezydent nie ma kompetencji do kontrolowania jego wyboru przez Sejm na stanowisko sędziego Trybunału Konstytucyjnego.

– Każdy organ władzy publicznej (...) może tylko tyle, ile wynika z przepisów, które przyznają temu organowi określoną kompetencję. Tylko na podstawie określonego przepisu organ władzy coś może. Prezydent nie ma uprawnienia do wykonywania tych czynności, które teraz próbuje on, czy jego kancelaria wykonywać. Nie ma takiej procedury, w której prezydent mówi „a ja bym chciał coś otrzymać, bo uważam, że kontroluję działalność Sejmu" – stwierdził.

Jednocześnie zaznaczył, że jego obowiązkiem, jako sędziego TK, jest złożenie ślubowania. – Prezydent tu niczego nie przyjmuje, ani nie odmawia przyjęcia. Ja jako sędzia wybrany przez Sejm mam prawny obowiązek złożenia ślubowania pod rygorem, że jeśli zostanie uznane, że uchylam się od tego obowiązku, to oznacza, że się zrzekam urzędu – tłumaczył.

Co ważne, jeszcze przed głosowaniem w Sejmie nad jego kandydaturą na sędziego TK, Berek opublikował w mediach społecznościowych zaświadczenie dziekana Rady Okręgowej Izby Radców Prawnych, zgodnie z którym uchwałą z 2002 roku został wpisany na listę radców prawnych i od dnia ślubowania do chwili obecnej posiada uprawnienia do wykonywania zawodu. W dokumencie wskazano też, że Berek zgłosił w ewidencji wykonywanie zawodu radcy prawnego w okresie od 1 stycznia 2006 roku do 31 lipca 2009 roku oraz od 1 sierpnia 2012 roku do chwili obecnej.

Skąd takie zamieszanie wokół Macieja Berka? Mamy w tej chwili razem z Maciejem Berkiem ośmiu członków TK wybranych przez obecny Sejm. To większość w 15-osobowym składzie. Prezydent Nawrocki nie odebrał jednak ślubowania od czworga z siedmiu wcześniej wybranych sędziów. Według przedstawicieli KPRP w ich przypadku w Sejmie doszło do błędów. Sędziowie złożyli więc podczas uroczystości ślubowanie z formułą, że czynią to „wobec prezydenta". KPRP nie uznaje tego za ślubowanie, a prezes TK Bogdan Święczkowski nie dopuścił ich do orzekania. Sytuacja może się powtórzyć w przypadku Macieja Berka.

Ale to niejedyny problem Trybunału Konstytucyjnego. Ten może w 2027 r. zostać bez budżetu, a w konsekwencji bez możliwości normalnego działania. Pod koniec sierpnia minister finansów Andrzej Domański poinformował, że w projekcie budżetu państwa na 2027 rok nie uwzględniono dochodów i wydatków TK. Resort tłumaczył, że przekazana przez Trybunał informacja nie została wcześniej uchwalona przez Zgromadzenie Ogólne sędziów, czego wymagają przepisy. Bogdan Święczkowski przekazał ministrowi projekt budżetu mimo braku uchwały Zgromadzenia Ogólnego, wskazując, że dwukrotnie nie udało się go przyjąć z powodu braku kworum.

Teraz siedmioro sędziów TK alarmuje, że prezes Bogdan Święczkowski nie zwołuje Zgromadzenia Ogólnego, które powinno zająć się tą sprawą.

Autorzy pisma podkreślają, że „w trosce o zapewnienie możliwości prawidłowego funkcjonowania TK", a także mając na uwadze „oczywistą potrzebę zagwarantowania praw pracowniczych wszystkich osób zatrudnionych w TK, jak również świadczeń dla sędziów w stanie spoczynku", domagają się zwołania Zgromadzenia Ogólnego „z udziałem wszystkich sędziów Trybunału wybranych przez Sejm".

„Zwołanie Zgromadzenia Ogólnego Trybunału Konstytucyjnego w tej sprawie jest obowiązkiem sędziego Bogdana Święczkowskiego, kierującego pracami Trybunału" – piszą sędziowie.

I dodają, że pozbawienie Trybunału środków finansowych „grozi całkowitą niemożnością realizowania jego zadań, a w konsekwencji pozbawieniem obywateli ochrony konstytucyjnych wolności i praw".

Święczkowski tłumaczy jednak, że przeprowadzenie posiedzenia jest niemożliwe z powodu sporu o udział w nim części sędziów.

Sytuacja wygląda na patową. Plan Donalda Tuska był prosty: Maciej Berek, jego prawa ręka, został wysłany do TK, aby zaprowadzić w nim porządek. Pytanie, czy to jeszcze w ogóle możliwe. PAP

eprasa.pl dcbe6e08c7

WOJNA HYBRYDOWA

Polska na celowniku Kremla. Putin się rozkręca

Rosja coraz częściej przeprowadza ataki tuż przy polskiej granicy. Jej celem są szlaki komunikacyjne, magazyny, logistyczne huby. Putin pokazuje, że niczego się nie boi. I czeka. Na słabość i niezdecydowanie zareaguje natychmiast. Posunie się krok dalej

Dorota Kowalska

Putin się nie zatrzymuje. I nie chodzi mu już tylko o Ukrainę. Z nią wojnę prowadzi od czterech lat, od wielu tygodni atakuje sąsiada właściwie nieustannie: celem są szlaki transportowe, obiekty cywilne, w tym zakłady przetwarzające żywność, węzły przesiadkowe, infrastruktura energetyczna. Zima tuż, tuż. Rosjanie nie mają sukcesów na froncie, więc chce wziąć Ukraińców chłodem i głodem.

Ukraina to jednak za mało. Putin się rozkręca. Coraz śmielej prowokuje i testuje państwa NATO, a jak ostrzegają niektórzy, Polska jest teraz dla niego celem numer jeden. 12 września drony uderzyły w Kowel, Łuck, Sarny, Zwiahel i Fastów - ukraińskie miasta leżące niedaleko polskiej granicy.

W niedzielę nad ranem, 13 września, polskie systemy wykryły atak kilkunastu odrzutowych dronów Gerań-5 na zachodnią Ukrainę. Polskie wojsko poderwało myśliwce, a mieszkańcy przygranicznych województw zostali ostrzeżeni przed zagrożeniem.

W bezpośredniej bliskości granicy z Polską jeden rosyjski dron uszkodził lokomotywę pociągu pasażerskiego na stacji Jagodzin, około 800 m od przejścia granicznego Dorohusk-Jagodzin. Pociąg jechał z Kijowa do Warszawy. Drugi dron uderzył tuż obok w stację benzynową. Zapaliły się dwie ciężarówki. Po polskiej stronie ewakuowano ponad 280 osób z Dorohuska i ponad 300 z Hrebennego.

Szef MSZ Ukrainy Andrij Sybiha napisał w serwisie X, że „barbarzyńskie rosyjskie ataki w pobliżu przejścia granicznego między Ukrainą a Polską w Jagodzinie to nie tylko kolejna odsłona agresji wymierzonej w nasze granice państwowe".

„To terror Putina, który puka bezpośrednio do drzwi UE i NATO. Drodzy partnerzy, rosyjscy barbarzyńcy stoją u waszych bram" - dodał.

I zaapelował do sojuszników o natychmiastową reakcję i sankcje wymierzone w „agresywny reżim Putina".

„Putin musi zrozumieć, że na jego barbarzyństwo odpowiecie stanowczymi działaniami, które podniosą koszty prowadzenia wojny do poziomu, który będzie dla niego nie do zaakceptowania. To jedyny sposób, by go powstrzymać" - podkreślił Sybiha.

To nie koniec. W poniedziałek w miejscowości Rusinowo koło Jarosławca (woj. zachodniopomorskie) znaleziono drona.

„Wstępne oględziny wskazują, że to bezzałogowiec wojskowy pochodzący z Rosji. Na miejscu służby realizują czynności związane z zabezpieczeniem miejsca zdarzenia i podjętego sprzętu" - przekazał szef MON, Władysław Kosiniak-Kamysz. Dzisiaj wiadomo już, że to prawdopodobnie rosyjski nowy model drona typu Gerbera.

Na specjalnej odprawie z udziałem ministrów i służb w siedzibie Rządowego Centrum Bezpieczeństwa premier Tusk powiedział coś, co wszyscy widzimy.

- Tak jak się spodziewaliśmy, o czym wielokrotnie informowałem, eskalacja ze strony Federacji Rosyjskiej staje się faktem, a jej przykłady są coraz bliżej naszej granicy - stwierdził Donald Tusk.

I dodał, że „najbliższe tygodnie i miesiące to będzie okres bardzo wzmożonych akcji ze strony rosyjskiej i nie możemy wykluczyć, niestety, że ta eskalacja będzie dotyczyła także naszego terytorium".

- Nie chcemy w żaden sposób popadać w jakiś nerwowy nastrój i emocje są tu jak najmniej wskazane, ale nie ulega wątpliwości, że musimy być wspólnie z naszymi sojusznikami przygotowani na wspólną reakcję, jeśli zajdzie taka potrzeba - ocenił premier. Ci, którzy znają Rosjan, nie mają wątpliwości: zajdzie.

Amerykanie zaskoczeni

Putin gra w swoją grę i wydaje się, że z nikim się już nie liczy. Pod koniec sierpnia do Moskwy poleciał szef CIA John Ratcliffe. Jak pisał potem „Wall Street Journal", celem tej wizyty było ostrzeżenie, by Rosja nie atakowała państw NATO. „WSJ" powołała się na ludzi wtajemniczonych w niezapowiedzianą podróż szefa CIA do Moskwy, dziennik przypomniał wcześniejsze analizy amerykańskiego wywiadu, według których Putin mógłby „w najbliższych latach przeprowadzić ograniczony atak na któreś z państw NATO, by przetestować determinację Sojuszu".

„Amerykańscy urzędnicy obawiają się, że Putin, pozostający pod presją na Ukrainie i w kraju, może rozpocząć atak obejmujący wszystko - od cyberataku po niewielką inwazję lądową, prawdopodobnie na jeden z krajów bałtyckich" - napisała gazeta. Serwis Politico doprecyzował, że wizyta Ratcliffe'a dotyczyła Litwy, Łotwy i Estonii.

„Jego spotkanie miało na celu przede wszystkim ostrzeżenie Rosji przed jakimikolwiek działaniami eskalacyjnymi wobec państw bałtyckich" - powiedziała jedna z osób zaznajomionych ze sprawą.

Jak przebiegała wizyta? Czym się zakończyła? Nie wiadomo. Putin pierwotnie miał się spotkać z szefem Centralnej Agencji Wywiadowczej, ale w ostatniej chwili wykreślił ten punkt z harmonogramu.

Jak powiedział później gazecie „The Washington Post" jeden z informatorów, po spotkaniach w Moskwie Ratcliffe miał uznać, że przekazał Kremlowi, co miał przekazać, ale w efekcie niczego to nie zmienia. Rosja miała odebrać wizytę jako próbę nakłonienia Putina do przerwania wojny, a sam Putin odczytał ją jako oznakę słabości.

Nie doszło więc do żadnego przełomu. Z informacji Onetu wynika, że po tym spotkaniu Amerykanie wysłali do Warszawy niepokojący sygnał. „Amerykanie byli w szoku, że dzień po wizycie Ratcliffe'a Putin dokonał zmasowanego ataku na Ukrainę. Rozpytywali później sojuszników w Europie Środkowej, w tym nas, i zastanawiali się, co mogło być celem tej demonstracji. Bo co do tego, że była to demonstracja, nie mają żadnych wątpliwości" - mówił portalowi jeden z urzędników. I dodał, że sytuacja jest bardzo zła. Ataki przy polskiej granicy są tego potwierdzeniem.

Premier Donald Tusk przyznał, że otrzymał raport od szefa amerykańskiej Centralnej Agencji Wywiadowczej (CIA) dotyczący możliwych zdarzeń w najbliższych miesiącach.

- Tak jak już na ten temat mówiłem i ostrzegałem od wielu miesięcy, należy spodziewać się różnych scenariuszy. Polska i cała Europa musi być przygotowana na różne scenariusze, jeśli chodzi o sytuację nie tylko na froncie rosyjsko-ukraińskim, ale także na wschodniej flance Unii Europejskiej - mówił 10 września podczas szczytu Grupy Wyszehradzkiej w Bratysławie.

I przekazał, że w czwartek - a więc trzy dni przed atakiem rosyjskich dronów nieopodal przejścia granicznego Dorohusk-Jagodzin - dzięki współpracy polskich i ukraińskich służb „udało się uniknąć bezpośredniego zagrożenia dla jednego z przejść granicznych".

Premier zauważył, że Rosja zdecydowała się już na prowokacyjne ataki na przejścia graniczne, na przykład w Mołdawii. Ale też MSZ Mołdawii oskarżyło Kreml o celowy atak na ukraińską część przejścia granicznego Tudora-Starokozacze i próbę usprawiedliwienia ataku fałszywymi twierdzeniami o rzekomym transporcie broni z Mołdawii do Ukrainy.

Do ataku doszło w nocy z 8 na 9 września. Rosja zaatakowała ukraińską część przejścia granicznego, a dwa kolejne drony spadły w jego pobliżu. Uszkodzona została infrastruktura punktu kontrolnego, a jego funkcjonowanie zostało czasowo wstrzymane. Według władz Mołdawii w wyniku ataku zginęło dwóch obywateli Ukrainy, a kilka osób zostało rannych, w tym obywatel Mołdawii.

- Spodziewamy się tego typu akcji także, jeśli chodzi o przejścia graniczne z Ukrainą w innych państwach, także w Polsce - przyznał Tusk. Jak zaznaczył, w czwartek „w nocy mieliśmy niestety tego zapowiedź, skończyło się szczęśliwie, ale musimy być przygotowani na różne tego typu prowokacje, (...) także na sabotaż wewnętrzny". Jak wiemy dzisiaj, Rosja atak ponowiła.

Sprawa staje się poważna. Jak pisze Onet, Warszawa stawia pytanie o polityczną skuteczność Waszyngtonu. To pytanie zasadne, tym bardziej, że rząd właściwie nie wie, na czym stoi. Prezydent Donald Trump raz chwali Ukraińców, innym razem gani Zełenskiego i obciąża go odpowiedzialnością za wysokie ceny paliw. To nie amerykańska wojna z Iranem ma być tego przyczyną, ale ukraińskie ataki na infrastrukturę energetyczną w Rosji. Z Departamentu Obrony USA co rusz odchodzą kolejni dymisjonowani urzędnicy, co na pewno nie ułatwia kontaktów między polskimi i amerykańskimi wojskowymi.

W przyszłym tygodniu wicepremier i szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz spotka się w Waszyngtonie z sekretarzem obrony USA Pete'em Hegsethem.

- To jest ważny moment dyskusji o stałej obecności wojsk amerykańskich, ale również o potencjalnych zagrożeniach, które są ze strony Federacji Rosyjskiej wobec wschodniej flanki NATO - podkreślił Kosiniak-Kamysz.

Jak mówił, z Hegsethem będzie rozmawiał na temat polskiego bezpieczeństwa, ale także między innymi o centrum serwisowania pocisków PAC-3 do wyrzutni Patriot. Pytany, czy spotkanie jest reakcją na eskalację rosyjskich działań w pobliżu polskiej granicy w ostatnich dniach, minister obrony podkreślił, że ta wizyta była przygotowywana od kilku tygodni.

Test dla Unii Europejskiej i NATO

W ostatnich dniach Rosjanie pokazali, że mogą atakować logistyczne centra: przejścia graniczne, stacje kolejowe, parkingi, magazyny. Teraz przyglądają się reakcji polskich władz i naszych sojuszników z NATO. Jeśli ci wykażą słabość, pójdą dalej.

Ppłk rez. Maciej Korowaj, analityk wojskowy z Instytutu Flanki Wschodniej, uważa, że Kreml zaczął świadomie traktować przejścia graniczne, kolej i szlaki logistyczne prowadzące z Polski na Ukrainę jako osobną kategorię celów.

- Już kilka dni temu, po atakach na przejścia graniczne na południu Ukrainy, zwracałem uwagę, że może to być wstęp do operacji, która dotknie ważniejszego celu: granicy polsko-ukraińskiej. Teraz widzimy, że ten scenariusz zaczyna się materializować - mówił w rozmowie z Wirtualną Polską.

I dodał, że polska granica ma swoje uwarunkowania odległościowe. Jeżeli nie ma wsparcia białoruskiego,

eprasa.pl dcbe6e08c7



FOT. PAP/ADAM WARŻAWA

W poniedziałek z Bałtyku wyłowiono uzbrojony rosyjski dron. To Geran-2

w tym możliwości wykorzystania znajdujących się nad Białorusią nadajników i innych elementów infrastruktury, Rosjanom trudniej będzie prowadzić operację w rejonie naszej granicy. Tak więc kluczowa dla naszego bezpieczeństwa jest Białoruś i postawa białoruskich władz. Dlatego Polska, jego zdaniem, powinna wywierać na Mińsk presję.

Korowaj uważa też, że rządzący reagują dopiero po zdarzeniu, zamiast mieć wcześniej przygotowane warianty działania. Rosja dzięki temu może obserwować cały polski „cykl decyzyjny": od wykrycia zagrożenia, przez analizę, po decyzję polityczną i komunikat premiera i szefów MON.

Eksperci podkreślają, że społeczeństwa i państwa muszą przyzwyczaić się do funkcjonowania w tak zwanej szarej strefie: stanie pomiędzy pokojem a wojną, w którym dochodzi do aktów sabotażu, cyberataków i innych działań poniżej progu otwartego konfliktu.

- Powinniśmy jako państwo i jako społeczeństwo troszeczkę inaczej funkcjonować. Musimy mieć taką wewnętrzną świadomość, że nie żyjemy już w czasie pokoju, ale że też nie jest to czas wojenny. To jest taka szara strefa, kiedy właśnie dochodzi do różnego rodzaju aktów sabotażu, różnych działań, czy to w domenie cybernetycznej, czy to w innych domenach - mówił dr Przemysław Kwiatkowski z Uniwersytetu WSB Merito w radiowej Jedynce.

I zwracał uwagę, że inicjatywa działania pozostaje po stronie agresora, bo to Rosja decyduje, kiedy i jakich narzędzi użyje wobec państw NATO. Niezależnie od tego, czy chodzi o kraje nadbałtyckie, Rumunię czy Polskę.

- Może to być jakiś akt dywersji infrastruktury krytycznej albo zmasowane ataki cybernetyczne. Możemy się spodziewać także, że będzie to operacja wpływu prowadzona w mediach nazywanych, według mnie nieprawidłowo, społecznościowymi. One są raczej antyspołeczne i służą fantastycznie do szerzenia dezinformacji - zaznacza dr Kwiatkowski.

Dzisiaj nikt nie ma już żadnych wątpliwości, że Kreml na poważnie testuje państwa NATO i Unię Europejską. Wskazują na to światowe media.

„Kolejny rosyjski atak hybrydowy - tym razem przy granicy z Polską - wywołał obawy w Europie. Wciąż jednak silniejszy okazuje się strach o to, że zdecydowana reakcja może sprowokować Władimira Putina do otwartego ataku. Niemoc i paraliż decyzyjny UE i NATO - zdaniem niektórych dyplomatów - obnażają bezradność kontynentu. - Jeśli nie podejmiemy działań, sytuacja może się znacznie pogorszyć - mówi anonimowo wysoki rangą europejski urzędnik ds. obrony" - pisze Politico.

I dodaje, że „pomimo narastających się ataków Rosji na europejską infrastrukturę krytyczną i fabryki broni, kraje NATO nadal z dużą ostrożnością podchodzą do podejmowania natychmiastowych, zdecydowanych działań, które mogłyby sprowokować Kreml".

„Jak twierdzą trzej dyplomaci NATO oraz jedna osoba zaznajomiona z tą sprawą, stolice europejskie rozważają różne opcje, w tym rozpoczęcie debaty na temat tego, czy atak hybrydowy mógłby uruchomić klauzulę wzajemnej obrony zawartą w artykule 5 traktatu NATO, bardziej spójną komunikację w odpowiedzi na incydenty oraz większy nacisk na ochronę infrastruktury krytycznej. Jak dotąd jednak Europa unika podejmowania jakichkolwiek zdecydowanych kroków - częściowo z obawy o to, że mogłoby to doprowadzić do eskalacji konfliktu i wybuchu wojny totalnej z Rosją" - zauważa Politico.

Polska wzmacnia granice

Europejscy przywódcy muszą zdawać sobie z tego sprawę. Znają Putina. W środę Ursula von der Leyen, przewodnicząca Komisji Europejskiej, wygłosiła orędzie o stanie Unii Europejskiej. Zapowiedziała w nim, że Europa szykuje nową strategię bezpieczeństwa w odpowiedzi na rosnące zagrożenia hybrydowe i działania Rosji. Wśród propozycji znalazł się chociażby mechanizm określany jako „europejski artykuł 4", który miałby uruchamiać wspólną reakcję państw UE na poważne incydenty poniżej progu zbrojnej agresji.

Ma też powstać Europejska Rada Bezpieczeństwa z udziałem między innymi Ukrainy, Wielkiej Brytanii, Norwegii i Kanady oraz nowy instrument wspierający rozwój strategicznych zdolności obronnych Europy.

- Europa będzie bronić każdego metra kwadratowego swojego terytorium - powiedziała w wystąpieniu Ursula von der Leyen.

Pomoc humanitarna dla Ukrainy ma być kontynuowana, podobnie jak wzmocnienie ukraińskiej energetyki i systemów ogrzewania oraz dalsze wzmacnianie obrony powietrznej.

Przewodnicząca Komisji Europejskiej poinformowała o zakupie amerykańskich rakiet Patriot i planach budowy wspólnie z Ukrainą tańszego, modułowego systemu obrony przeciwrakietowej. Jego kluczowym elementem ma być projekt Freyja, łączący ukraińskie doświadczenia bojowe z europejską technologią i możliwościami produkcyjnymi.

UE ma również zaostrzyć presję sankcyjną na Rosję, przede wszystkim przez skuteczniejsze egzekwowanie już obowiązujących restrykcji i zamykanie sposobów ich obchodzenia.

Von der Leyen mówiła też o rosyjskich atakach na ukraińskie miasta.

- To nie jest tylko wojna. To celowa strategia terroru - podsumowała.

Polski rząd po atakach przy polskiej granicy postanowił działać. Służby graniczne wzmacniają posterunki, przygotowują plany ewakuacji i zmieniają organizację ruchu, by zminimalizować ryzyko ewentualnych szkód.

W rozmowie z Radiem ZET Czesław Mroczek podkreślił, że Rosja od początku wojny z Ukrainą prowadzi agresywną politykę w stosunku do państw, które wspierają Ukrainę, a Europa, po ostatniej serii różnego rodzaju rosyjskich ataków i aktów sabotażu, musi wzmocnić presję na Moskwę, ale także lepiej chronić się przed atakami hybrydowymi.

- Wprowadziliśmy taką organizację przejścia granicznego, by na czas tego zagrożenia jak najmniej środków transportu, które mogłyby zwiększyć szkody w wyniku takiego napadu, pozostawało na przejściu - wyliczał Czesław Mroczek. - Przygotowaliśmy ochronę wszystkich funkcjonariuszy na przejściach i sposób ewakuacji, także podróżnych - dodał.

W środę w serwisie X szef MSWiA Marcin Kierwiński napisał, że zakończyło się wzmacnianie posterunków Straży Granicznej na przejściu granicznym w Dorohusku.

Dzisiaj, w piątek 18 września, prezydent Karol Nawrocki spotka się z wicepremierem, ministrem obrony narodowej Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem oraz szefem Sztabu Generalnego Wojska Polskiego gen. Wiesławem Kukułą.

„Rozmowa będzie dotyczyć bieżącej sytuacji bezpieczeństwa oraz środków podejmowanych w związku z ostatnimi wydarzeniami" - zakomunikował Bartosz Grodecki, szef BBN.

Jednym z poruszanych tematów ma być również współdziałanie instytucji odpowiedzialnych za bezpieczeństwo.

Działania Kremla mają jeden cel: wywołać chaos w państwach NATO, wzbudzić strach i panikę wśród ich obywateli, zniechęcić ich do Ukraińców. Odciąć naszego sąsiada od pomocy militarnej i humanitarnej.

Putin nie poprzestaje na cyberatakach i dezinformacji, dzisiaj wysyła swoje drony i myśliwce nad natowskie niebo, atakuje tuż przy granicach z państwami Sojuszu. Czeka. Uznaje tylko argument siły. Rozzuchwalony, przekroczy kolejne granice.

REKLAMA 0311461412



eprasa.pl dcbe6e08c7

POLITYKA

George Friedman: Nadszedł czas Europy Wschodniej. Wracamy do tego, co proponował Piłsudski

– Współcześnie Europa Atlantycka stała się przestarzała. Dziś nie obchodzi mnie, co myślą Francuzi. Dziś pytanie brzmi: czy Polska zdoła ustabilizować nową rzeczywistość i pełnić rolę lidera w swoim regionie? Tak sobie wyobrażałem waszą rolę kilkanaście lat temu – mówi dr George Friedman, geostrateg, autor słynnej książki „Następne 100 lat”

Agaton Koziński



FOT. PAP/EPA/ABEDIN TAHERKENAREH

Friedman: Wszyscy wiemy, że Iran pracuje nad bronią atomową. Uderzenie na ten kraj pozwoliło nam zapobiec takiej sytuacji (na zdjęciu: wielki plakat w Iranie z napisem „Armia diabła zginie w Zatoce Perskiej”)

Opłacało się Donaldowi Trumpowi rozpoczynać wojnę w Iranie? Sukcesu nie ma, a cena ropy ciągle idzie w górę.

Nawet jeśli przegramy w Iranie, nie będzie to naszą porażką. Trzeba pamiętać, że koszmarem Stanów Zjednoczonych nadal jest 11 września. Europejczycy nie rozumieją, jak głęboko tamte wydarzenia dotknęły nasz kraj. Dziś główną obawą w USA jest strach przed uderzeniem, które by miało groźniejsze konsekwencje niż atak z 2001 r. – przed nuklearnym 11 września. Nie chcemy, żeby do niego doszło. Wszyscy wiemy, że Iran pracuje nad bronią atomową. Uderzenie na ten kraj pozwoliło nam zapobiec takiej sytuacji.

Dokładnie tak samo miało być z Irakiem, gdy USA atakowały ten kraj w 2003 r. Bagdad też miał pracować nad bronią jądrową, biologiczną i chemiczną. Nic takiego nie miało miejsca – natomiast George W. Bush stracił całą wiarygodność, a władzę na dwie kadencje przejęli demokraci. Teraz wygląda na powtórkę.

Nie jestem o tym przekonany. W tym przypadku chodzi o stosunek prawdopodobieństwa do konsekwencji. Na początku zaczęło się od prób zniszczenia instalacji nuklearnych w Iranie. Nie udało się tego osiągnąć, zagrożenie ze strony Teheranu cały czas nad nami wisiało. W Europie nie ma zbyt silnego przekonania o zagrożeniu ze strony Iranu dysponującego bronią jądrową. Nawet w Stanach Zjednoczonych nie ma takiej obawy. Ale dla tych z nas, którzy przeżyli 11 września i byli blisko kwestii poruszanych w tym kontekście, był to najgorszy koszmar. Z tego powodu Trump musiał podjąć działania wobec Iranu. Trzeba było to zrobić. Ale też nie można obecnego konfliktu porównywać z irackim.

Wojna w Iranie wygląda na kolejną „niekończącą się wojnę”, w której utkną USA. Trump obiecywał, że tego uniknie.

Te konflikty zasadniczo się różnią. Owszem, USA w Iranie popełniły błędy. Tuż przed rozpoczęciem wojny w tym kraju miało miejsce powstanie obywateli. Panowało przekonanie, że jeśli uda nam się dopaść przywódców Iranu, to reżim rządzący tym krajem upadnie. Ale tak się nie stało. Zabicie najważniejszych przywódców irańskich nie wywołało chaosu. To był fundamentalny błąd, który popełnił Trump. Ale mimo to nie można tego konfliktu porównywać z wojną w Iraku. Z prostej przyczyny: w obecnej wojnie zginęło bardzo niewielu Amerykanów. USA nie zdecydowały się wysłać tam wojsk, skupiają się na uderzeniach z lądu i morza. W Iraku było inaczej.

Wojna iracka i okupacja tego kraju oznaczała dla USA stratę 4500 ludzi.

Tymczasem teraz w wojnie w Iranie zginęło póki co 20 Amerykanów. To zasadnicza różnica. Stany Zjednoczone w ogóle nie zaangażowały sił lądowych w ten konflikt, i nie zamierzają tego robić. Straty byłyby zbyt duże.

Nawet niewielka operacja na wyspie Chark, gdzie przepompowuje się większość irańskiej ropy, jest według Pana wykluczona?

Ona pewnie byłaby realna, ale przyniosłaby niewielkie efekty. Wojna w Iranie jest w USA mało popularna, właśnie dlatego, że przynosi bardzo mało ofiar. Do Dover nie przypływają trumny z amerykańskimi żołnierzami. Główną reakcją Irańczyków było zamknięcie portów – byli przekonani, że to zmusi Stany Zjednoczone do wycofania się, co jednak nie nastąpiło. Amerykanie zareagowali, tworząc porozumienie z Mekki, które objęło Turcję, Pakistan i Arabię Saudyjską.

Szybko zaczęto je nazywać „bliskowschodnim NATO”.

Turcja i Arabia Saudyjska zawsze miały być – podobnie zresztą jak Polska – sojusznikami USA. Porozumienie z Mekki to idealny sojusz. Widać to, gdy się spojrzy na mapę. Mówimy o trzech ogromnych krajach otaczających

eprasa.pl dcbe6e08c7

Iran. To nowy etap w historii Bliskiego Wschodu. Te trzy kraje połączyły siły, co sprawia, że mamy do czynienia z innym Bliskim Wschodem.

Nie zmienia to faktu, że Trump nie zdołał złamać Iranu, a przez to traci swoją globalną wiarygodność. USA przestają być postrzegane jako lider świata.

Każdy amerykański prezydent tracił swoją globalną wiarygodność. Bez względu na to, kto zasiada w Białym Domu, słyszę takie uwagi. Podobnie jest w przypadku Trumpa. W przypadku jego prezydentury obowiązuje kluczowa zasada: nie należy słuchać niczego, co on mówi. Trzeba natomiast patrzeć na to, co robi – i czego nie robi. Czego nie zrobił? Po pierwsze, nie wysłał sił lądowych przeciwko Iranowi. Po drugie, nie wpadł w panikę, gdy zerwano zawieszenie broni. Po trzecie, nie zaatakował, gdy Arabia Saudyjska została zablokowana na Morzu Czerwonym przez Huti. On nie chce angażować w takie akcje amerykańskich sił, zamiast tego przekonuje innych, żeby to oni podjęli działania. I tu jest zasadnicza różnica między tą wojną a konfliktem w Iraku, w który wplątaliśmy się zbyt głęboko.

Wojna w Iranie jest daleka od ukończenia. Nie da się dziś przewidzieć, jak się rozwinie.

Bardzo łatwo jest powiedzieć o Trumpie, że to idiota, szaleniec. Ale też widać, że bardzo dba o to, by ten konflikt nie wymknął się spod kontroli. Świadczy o tym choćby bardzo mała liczba Amerykanów, którzy w nim zginęli.

O cenach benzyny na stacjach nie da się już powiedzieć, że utrzymały się w ryzach.

Owszem, wywołaliśmy globalną recesję – choć Europa jest bardziej wrażliwa na wzrost cen na stacjach benzynowych niż USA. Natomiast my po stronie zysków mamy porozumienie z Mekki. Trzeba brać to pod uwagę. To jest metoda działania Trumpa. On zachowuje się jak idiota i przez to jest niedoceniany.

Inną konsekwencją wojny w Iranie będzie pewnie porażka Trumpa w listopadowych wyborach uzupełniających do Kongresu. Osłabi go to politycznie. Równolegle mamy Chiny, które nie robią nic, po prostu czekają, jak rozwinie się sytuacja. I dziś to one wydają się siłą stabilizującą świat, a nie Ameryka.

Nie, dziś Chiny znajdują się w desperackiej sytuacji. To druga co do wielkości gospodarka świata, ale pod względem dochodu PKB na mieszkańca zajmują 71. miejsce. Ich główny problem polega na tym, że nie są w stanie sami skonsumować produktów, które wytwarzają. Ich największym odbiorcą są Stany Zjednoczone. Teraz zaczęliśmy podnosić cła na chińskie produkty. To dla Pekinu groźne, bo mogą stracić swój najważniejszy rynek zbytu. Dlatego Chińczycy muszą dojść do porozumienia z USA, oni nie zdołają ich sprzedać nigdzie indziej. Właśnie z tego powodu Pekin trzyma się z dala od konfliktu na Bliskim Wschodzie.

Ale jednocześnie regularnie używa wrogiej retoryki wobec Tajwanu.

Za kilka tygodni dojdzie do spotkania Trumpa z Xi Jinpingiem w Waszyngtonie. Kwestia Tajwanu musi zostać wtedy rozwiązana. I zostanie – bo dziś Chiny znajdują się pod ogromną presją ze strony USA. Naprawdę nie docenia się presji, pod jaką ten kraj się znalazł. Choćby w kwestii ropy naftowej – oni naprawdę potrzebują dostaw z krajów Zatoki Perskiej.

Ropa z Bliskiego Wschodu to niemal połowa chińskiego eksportu tego surowca.

I Pekin nie ma zbyt wielu opcji, by ten eksport zastąpić dostawami z innych regionów świata. To właśnie dlatego Chiny trzymają się z daleka od konfliktu w Iranie. Pekin tylko pozornie wygląda stabilnie. W tym kraju są ogromne problemy gospodarcze: bezrobocie, upadłości banków, korupcja. Tamtejsza gospodarka jest uzależniona od eksportu do USA. Tylko że teraz – z powodu ceł – ceny poszły w górę, więc sytuacja dla Chin stała się bardziej skomplikowana. Postawiliśmy ten kraj w bardzo trudnej sytuacji, choć nie chcemy go upokarzać.

Chiny jednak nie mają żadnych oporów przed wspieraniem Rosji walczącej z Ukrainą.

Zaproponowaliśmy Rosjanom układ: zakończcie wojnę na Ukrainie, a my w zamian zainwestujemy u was. Tyle że Rosjanie odrzucili tę propozycję.

Najważniejszym źródłem działań politycznych jest determinacja, a nie kalkulacja. Tej determinacji brakuje dziś Europie. Widać ją w Europie Wschodniej

GEORGE FRIEDMAN
geostrateg

Teraz mówi Pan o szczycie Putin-Trump w Anchorage?

Tak, o nim, ale też o wcześniejszych rozmowach telefonicznych. Zresztą Chinom też przedstawiliśmy propozycję. USA są gotowe ograniczyć swoją obecność wojskową w regionie, co powinno im odpowiadać. Gdy Trump był w Pekinie wraz z dyrektorami generalnymi firm technologicznych, wysłał sygnał, że nasze kraje nie muszą konkurować w dziedzinie sztucznej inteligencji, że możemy pracować nad jej rozwojem razem. Patrząc na to z dystansu, widać próby rozwiązania wielu problemów jednocześnie.

Podsekretarz wojny Elbridge Colby był niedawno w Brukseli, przedstawiając wizję NATO 3.0 – sojuszu, w którym Europa bierze dużo większą część odpowiedzialności za bezpieczeństwo kontynentu niż teraz. Argumentuje, że USA muszą wycofać część sił z Europy, żeby je przenieść na Daleki Wschód. A Pan z kolei mówi, że USA chcą ograniczyć swoje zaangażowanie w tym rejonie.

Colby zwyczajnie kłamie.

Ale przecież USA zmniejszają wojskową obecność w Europie.

No tak, zostało tutaj „zaledwie" 80 tys. żołnierzy. Właśnie pożyczyliśmy Polsce ogromną sumę pieniędzy na zakup sprzętu i przygotowujemy się do zbudowania u was bazy wojskowej.

Obietnica USA, która cały czas nie znajduje przełożenia na rzeczywistość.

W Polsce cały czas stacjonuje ok. 10 tys. żołnierzy amerykańskich. Gdyby Polska została zaatakowana i choć jeden amerykański żołnierz zginął, to Amerykanie oszaleją. Teksas oszaleje. Cały kraj oszaleje. Pomysł, że Rosjanie odważyliby się zaatakować Polskę, mając świadomość, że stacjonują tam Amerykanie, brzmi niewiarygodnie. Oni nie są tak głupi, by się na to zdecydować.

Cały czas jednak nie jest jasne, w jakiej formule wojska amerykańskie stacjonują u nas. Ciągle utrzymuje się ten rotacyjny tryb, czyli bardzo tymczasowy.

Ważniejsze dziś jest, jaką rolę obecnie Polska odgrywa. Dziś wasz kraj to wschodnia granica NATO – podobnie jak przed upadkiem muru berlińskiego taką rolę pełniło RFN. Teraz Niemcy takiej roli już nie odgrywają, dlatego nie

Nie możemy traktować Rosji poważnie jako potęgi militarnej. Przecież ona nie była w stanie zająć Ukrainy przez cztery lata. To nie jest nawet potęga regionalna

GEORGE FRIEDMAN
geostrateg

ma powodu, by trzymać tam amerykańskie wojska. To bez sensu. Umieszczenie żołnierzy w Polsce jest bardziej przydatne.

Presja ze strony Rosji na kraje wschodniej flanki rośnie. Coraz więcej różnego rodzaju prowokacji ze strony tego kraju.

Nie możemy traktować Rosji poważnie jako potęgi militarnej. Przecież ona nie była w stanie zająć Ukrainy przez ponad cztery lata. To nie jest nawet potęga regionalna. To tylko Europejczycy wpadają z jej powodu w panikę.

Ta panika bierze się z prostego powodu. Może Rosja jest słaba, nie jest w stanie nic osiągnąć na Ukrainie. Ale Europa się boi, że jest jeszcze słabsza niż słaba Rosja.

UE ma drugą co do wielkości gospodarkę na świecie. Stwórzcie więc armię, która pozwoli wam przestać panikować. Problem w tym, że Europa Zachodnia tego nie umie zrobić. Wyraźnie widać, że jest przestarzała. Dawniej była w stanie zbudować swoje imperium na całym świecie, ale ostatecznie przegrała. Teraz nadszedł czas na kraje Europy Wschodniej. To najbardziej dynamiczny region Europy. W innych krajach zmiany zachodzą bardzo powoli, ale kiedy przyjeżdżam do Polski, widzę zupełnie inne miejsce. A Stany Zjednoczone są gotowe wysłać tutaj swoje wojska.

Jak to zmienia dynamikę polityczną?

Wracamy do Piłsudskiego. On rozumiał różnicę między Europą Zachodnią a Europą Wschodnią – i dlatego sto lat temu wysunął ideę Międzymorza. Ono nie miało być jednym państwem, tylko systemem sojuszy z własnymi siłami zbrojnymi i wszystkim innym, co jest konieczne. Dziś właśnie potrzebne jest myślenie w takich kategoriach. Współcześnie Europa Atlantycka stała się przestarzała. Dziś nie obchodzi mnie, co myślą Francuzi. Dziś pytanie brzmi: czy Polska zdoła ustabilizować nową rzeczywistość i delikatnie pełnić rolę lidera w swoim regionie? Naprawdę zależy mi na tym, co myślą Polacy, bo tak sobie wyobrażałem waszą rolę kilkanaście lat temu.

Pisał Pan o wzroście znaczenia Polski jako lidera Europy Środkowej w swojej książce „Następne 100 lat" z 2009 r.

I teraz bardzo się cieszę, że postawiłem w niej prawidłowe prognozy. Ale też pojawiają się nowe zagrożenia. Choćby wzrost znaczenia Turcji, która powoli staje się potęgą. Ten kraj spogląda w wielu kierunkach, także na północ. Dla krajów Europy Wschodniej stanie się to wyzwaniem.

Skoro nawiązał Pan do swojej książki. Przewidywał Pan w niej, że około 2020 r. Rosja wygeneruje duży kryzys geopolityczny – ale okaże się on jej porażką, która w konsekwencji doprowadzi do rozpadu tego kraju. Mamy rok 2026 i trwa kryzys geopolityczny, ale Rosja trzyma się mocno.

Bez przesady. Kreml już stracił Azję Wschodnią, Kaukaz Południowy, Europę Zachodnią i Europę Wschodnią, nad którą przecież sprawował kontrolę.

Doszło do tego w latach 90. Od tamtej pory sytuacja nie ulega zmianie.

Ale też nie udało im się tych terenów, mimo prób, ponownie zjednoczyć. Jeśli więc przyjrzymy się obecnej sytuacji Rosji, sposobowi, w jaki radzi sobie na Ukrainie, to widać, że nie stanowi ona dla nas problemu. To nie jest także problem dla Polski. Może gdyby Rosjanie zdołali zająć Ukrainę, to mogliby spróbować jakiejś akcji przeciwko wam. Ale nic takiego się nie dzieje. Sam jestem ciekawy, czy Putin zdoła to przetrwać.

Wcześniej Pan zauważył, że Trump przedstawił Rosji propozycję, którą Putin jednak odrzucił. Dlaczego tak zrobił? Dlaczego brnie piąty rok w wojnę, która go mnóstwo kosztuje i której nie jest w stanie wygrać?

Putin zawsze podkreślał, że żałuje rozpadu Związku Radzieckiego – i że musiał wkroczyć na Ukrainę, bo północna granica tego kraju znajduje się 500 km od Moskwy, a jakby ten kraj stał się częścią NATO, to Rosja byłaby skończona. To są powody, dla których zaatakował Ukrainę. Jako dobry funkcjonariusz KGB, przywódca Rosji musiał wręcz to zrobić. Natomiast wyraźnie nie przewidział, jak słaba była jego armia. Ukraińcy okazali się znacznie bardziej sprytni i zdolni. Wiedzieli, jak wykorzystywać informacje z satelitów. Podczas gdy rosyjskie dowództwo nigdy nie pokazywało informacji satelitarnych niższym rangą żołnierzom, po stronie ukraińskiej z tych informacji korzystali nawet sierżanci. To właśnie dlatego Putin poniósł porażkę

eprasa.pl dcbe6e08c7

POLITYKA

na Ukrainie. Wyraźnie też nie może się z tym pogodzić. Gdyby przyznał, że nie zdołał zdobyć Ukrainy, przestałby być uważany nawet za potęgę regionalną, a przecież jest rosyjskim patriotą. Patrząc pod tym kątem, rezygnacja z Ukrainy byłaby niezgodna z rosyjskim interesem narodowym. Rosja zostałaby postrzegana jako słaba. Koszt w postaci utraty wiarygodności byłby ogromny.

Putinowi może chodzić po głowie plan ucieczki do przodu, na przykład poprzez poważne prowokacje NATO, choćby przez atak na Łotwę. Jak duże jest takie ryzyko?

Nie można tego wykluczyć, on może chcieć przestraszyć Europę, sprawdzić ją. Największym sprawdzianem byłaby dla niego Polska. Choć widać, że już teraz próbuje wywołać u was panikę, ale wy nie panikujecie.

Pytanie, jak w takiej sytuacji zareagowałyby inne kraje Europy. Czy znowu byśmy usłyszeli – jak w 1939 r. – że nikt nie chce umierać za Gdańsk.

Proszę pamiętać, że w krajach wschodniej flanki, także bałtyckich, zostali rozmieszczeni żołnierze USA. Putin nie jest na tyle szalony, by się zdecydować na starcie z amerykańskim batalionem i wygranie go. Bo jeśli zginą żołnierze amerykańscy, to wtedy wkroczymy z pełną siłą. To mogę obiecać. My też nie jesteśmy do końca normalni. Najbezpieczniejszym rozwiązaniem dla Amerykanów jest utrzymywanie tam sił, które nie stanowią zagrożenia dla Rosji, ale uniemożliwiają jej działanie.

Z drugiej strony na takim konflikcie mogłoby zależeć Chinom. Z perspektywy Xi byłaby to idealna wojna zastępcza.

Tyle że jakby do tego doszło, chińska gospodarka ległaby w gruzach. Gdyby Waszyngton się dowiedział, że Putin działa na polecenie Xi, to Chińczycy straciliby dostęp do rynku amerykańskiego. To oznacza ogromne problemy Chin, wzrost bezrobocia. Xi się na to nie zdecyduje. Generalnie co jakiś czas słyszymy, że Chiny zrobią to czy tamto – a potem nic takiego się nie dzieje. Naprawdę wszyscy przeceniamy Chiny.

Elbridge Colby napisał grubą książkę o tym, jak bardzo ten kraj zagraża interesom Amerykanów.

Chińczycy postawili się w bardzo niebezpiecznej sytuacji. Zbudowali gospodarkę o wiele większą niż jest w stanie obsłużyć ich rynek wewnętrzny. Jeśli więc nie



FOT. PAP/MARIAN ZUBRZYCKI

Friedman: Jedynym regionem w Europie, który zachowuje dynamikę rozwoju, jest Europa Wschodnia. Tylko ona musi przekonać samą siebie, że wszystko jest możliwe

będą w stanie eksportować swoich towarów, poziom bezrobocia błyskawicznie wzrośnie. Banki już upadają w różnych regionach Chin. Poziom życia w tym kraju jest ciągle bardzo niski. To sprawia, że nie mają zbyt dużego pola manewru. Rosjanie też nie. Stany Zjednoczone mogą sobie w tej chwili pozwolić na niedbałość, ponieważ główni gracze są w dużym stopniu sparaliżowani. Natomiast ja w pierwszej kolejności patrzę na Europę Wschodnią. Należy zapomnieć o NATO, o Francuzach, o Niemcach. Patrzę przede wszystkim na najbardziej dynamiczny region Europy.

Jak wynika z raportu „Czas Trójmorza", przygotowanego przez Instytut Sobieskiego, PKB per capita państw należących do Trójmorza rosło w latach 2016–2025 dwa razy szybciej niż w Niemczech.

Kraje regionu powinny uciekać od Europy Atlantyckiej. Tamte kraje już zadbały o siebie. Nie da się z nimi współpracować, tym bardziej traktować ich jako przewodników. Dziś to wygląda inaczej. W ramach UE kraje Europy Wschodniej są ogonem, którym merda pies – Europa Zachodnia. Dziś najważniejsza jest tak naprawdę kwestia psychologiczna. Kraje Europy Wschodniej ciągle uważają, że nie są w stanie nic same osiągnąć. To jest główna bariera.

Nie tylko. Owszem, dynamika regionu jest duża, ale jednocześnie mamy płytkie kieszenie. To jedna z głównych blokad regionu – a także źródło tych psychologicznych barier, o których Pan mówi.

Kraje Europy atlantyckiej mają mnóstwo pieniędzy. I co z tego? Spójrzmy na źródła działań politycznych. Te najważniejsze biorą się z determinacji, a nie z kalkulacji. Właśnie tej determinacji brakuje dziś Europejczykom, natomiast widać ją w Europie Wschodniej. Właśnie dlatego uważam, że ten region ma ogromny potencjał, zwłaszcza jeśli pojawi się w nim kraj-lider.

Świat Zachodu jest w trakcie gruntownej przebudowy swoich elit politycznych. W USA władzę przejął Donald Trump. W Niemczech rosną notowania AfD, we Francji w sondażach zdecydowanie prowadzi Marine Le Pen. Czy polityczny główny nurt w świecie zachodnim jest w stanie się do tych zmian dostosować?

Dziś Trump w USA jest mocno krytykowany, ale to nic dziwnego – w Ameryce wszyscy nienawidzą prezydentów. Taka jest amerykańska natura. Natomiast nie do końca rozumiem, po co w ogóle rozmawiać o polityce w Europie Atlantyckiej. Naprawdę przestańcie martwić się o Europę Zachodnią. Tam się nic nie zmieni.

13 krajów Trójmorza – jak wynika z raportu Instytutu Sobieskiego, który przed chwilą przywołałem – wytwarza tyle samo PKB Unii Europejskiej co same Niemcy.

Zachodnia Europa to bardzo bogaty region, który nie ma żadnych ambicji. Jest zwyczajnie leniwy. Oni mnie kompletnie nie interesują. Interesuje mnie świat, który zaczyna się w Polsce i rozciąga się na południe i wschód od waszego kraju. Tam widać narody głodne sukcesu. Gdy rozmawiam z nimi, od razu czuć ogromne ambicje – i to ich najbardziej odróżnia od zachodniej części Europy. Spójrzcie na młodych ludzi w waszym regionie. Ich ambicje są ogromne, a jednocześnie przestali się bać. Pan czy ja dorastaliśmy w czasach, kiedy wszyscy się czegoś baliśmy. Panował wszechogarniający strach. Teraz jest inaczej. Młodzi ludzie mają swoje plany, ambicje i niczego się nie boją.

Tymczasem dziś słychać głównie o zagrożeniu wojną. Taki konflikt mógłby gwałtownie te plany i ambicje pokrzyżować.

Tylko że tego nie widać w ten sposób. Przede wszystkim dlatego, że Rosja i Chiny nie będą podchodzić do tego w ten sam sposób. Te dwa państwa radykalnie się różnią. Chińczycy nigdy nie byli Rosjanami. Nigdy nie okupowali innych krajów. Chińczycy to biznesmeni, a nie nacja podbijająca inne kraje. W ten sposób patrzę na stosunki amerykańsko-chińskie. Pewnie ważną rolę mogłaby w tej kwestii odegrać Europa. Mogłaby stać się wielką potęgą, gdyby się zjednoczyła, ale do tego nie dojdzie. To się nie wydarzy. Jedynym regionem w Europie, który zachowuje dynamikę rozwoju, jest Europa Wschodnia. Tylko ona sama musi przekonać samą siebie, że wszystko jest możliwe. Gdy tak się stanie, gdy ten region się usamodzielni, amerykańskie i chińskie firmy chętnie tutaj zainwestują. Tylko potrzebne jest, żeby ten region się ukształtował i wyłonił swojego lidera. Dlatego właśnie wspominałem wcześniej Józefa Piłsudskiego, który zaproponował koncepcję Międzymorza. Dziś trzeba mu oddać rację, że trafnie przeczytał układ sił.

Kraje Międzymorza dziś muszą przede wszystkim borykać się z agresywną Rosją.

Rosja myśli inaczej. Putin to człowiek z KGB, który nie potrafi sobie wyobrazić, co oznaczają inwestycje. Ale tym też nie trzeba się przejmować. W końcu Rosjanie zajmą się nim – tak jak wcześniej zajmowali się innymi swoimi przywódcami, którzy ich rozczarowali.



FOT. GEOPOLITICAL FUTURES

Dr George Friedman

Twórca i dyrektor ośrodka Geopolitical Futures. Specjalizuje się w geopolityce oraz prognozach politycznych. Współtwórca ośrodka Stratfor. Autor książek „Następne 100 lat. Prognoza na XXI wiek", „Następna dekada"

eprasa.pl dcbe6e08c7

STOPKLATKA



FOT. PAP/EPA/RONALD WITTEK

↑

Ursula von der Leyen wygłosiła orędzie o stanie Europy. Podczas sesji Parlamentu Europejskiego szefowa Komisji nakreśliła serię propozycji dla UE na kolejny rok. Głównym punktem wystąpienia była zapowiedź podpisania umowy stowarzyszeniowej z Kanadą. Jej słowom z aprobatą przysłuchiwał się kanadyjski premier Mark Carney



FOT. PAP/MARCIN BIELECKI

↑

Na plaży w Rusinowie niedaleko Jarosławca w Zachodniopomorskiem odnaleziono rosyjskiego drona uzbrojonego w głowicę bojową. Saperzy zdetonowali ładunek od razu na plaży. Nie wiadomo dokładnie, jak się tam znalazł, służby przypuszczają, że Rosjanie stracili z nim kontakt podczas manewrów nad Bałtykiem

→

Xi Jinping przybył do New Delhi w Indiach, by wziąć udział w szczycie BRICS. Dużo więcej emocji wzbudził jego powrót - bo towarzyszyły mu dyskusje, czy nie był on wywołany problemami ze zdrowiem 73-letniego przywódcy Chin. Oficjalnie nikt tego nie potwierdził, podobno wszystko odbyło się zgodnie z planem. A 24 września Xi spotka się z Donaldem Trumpem



FOT. PAP/EPA



FOT. PAP/MARCIN BIELECKI

←

Już po raz trzeci ściany aresztu śledczego w Szczecinie zostały wykorzystane jako przestrzeń dla twórców street artu. 14 artystów z Polski, Azji i Europy mogło w tym miejscu przedstawić swoje prace. Szare ściany aresztu nabrały kolorów

eprasa.pl dcbe6e08c7

POLITYKA

Dr Bartłomiej Biskup: Dzisiaj nie mamy już duopolu PiS-PO, ale mamy duopol blokowy

– Dzisiaj sondaże dają lekką przewagę ugrupowaniom prawicowym, ale lekką właśnie. I też trudno będzie złożyć im koalicję. Także cały czas mamy wyrównanie szanse, nie poszczególnych partii, ale bloków. Mamy blok prawicowy i liberalno-lewicowy, nazywając go tak w sporym uproszczeniu. To de facto potwierdza zjawiska polaryzacji, tylko troszkę innej, niż byliśmy przyzwyczajeni do tej pory, bo to już nie są tylko dwie partie polityczne, ale raczej dwa bloki grupowe – mówi dr hab. Bartłomiej Biskup, politolog

Dorota Kowalska



FOT. PAP/PIOTR NOWAK

Biskup: Część elektoratu KO szczególnie oczekuje dokończenia rozliczeń, chce widzieć ich efekty

Jak pan myśli, jakie będą główne tematy kampanii parlamentarnej, która właściwie już trwa, a formalnie za chwilę się rozpocznie?

Merytorycznie będzie kilka takich tematów: będą na pewno tematy bezpieczeństwa i zagraniczne, ale w tym wąskim rozumieniu, związane z Polską, czyli temat wojny w Ukrainie i wszystkiego, co ze sobą niesie. Będzie cały czas temat Ukraińców jako takich i ich obecności w Polsce, relacji polsko-ukraińskich. Będzie temat służby zdrowia. I będą tematy, powiedziałbym, kryminalno-polityczne.

Dobrze, ale zatrzymajmy się na kwestiach bezpieczeństwa. Rosja atakuje cele coraz bliżej polskiej granicy, wojna hybrydowa narasta. Nie wydaje się panu, że coraz bardziej widać, że to Rosja jest naszym wrogiem, a nie Ukraina jak próbują sugerować niektórzy?

Wie pani, ale chyba zawsze tak było, że to Rosja była naszym wrogiem, a nie Ukraina.

Grzegorz Braun mówi trochę inaczej, a ma spore poparcie.

To jedyny lider partii, który tak mówi. Natomiast oczywiście to o tyle istotne, że z takich twierdzeń wyprowadzane są różne wnioski, które odnoszą się chociażby do naszego stosunku do Ukraińców. Tyle tylko że dzisiaj żadna partia, oprócz partii Grzegorza Brauna, takich rzeczy nie opowiada. Zobaczymy, jak się to rozwinie, dlatego że te rosyjskie ataki z jednej strony powodują niechęć do Rosji i solidarność z Ukrainą, ale też z drugiej strony, na czym Kremlowi bardzo zależy, mogą powodować, iż część ludzi zacznie mówić: „To nie jest nasza wojna, szybko się z niej wycofajmy!". I to jest to niebezpieczeństwo.

Nie wiem, kto tak zacznie mówić, biorąc pod uwagę fakt, że bomby wybuchają właściwie na polsko-ukraińskim przejściu granicznym. Kto powie, że to nie nasza wojna? Trochę jednak już nasza.

Pani dokonuje analizy. Ja mówię o tym, jakie mogą być nastroje społeczne, o tym, jaka może być komunikacja Brauna, czy jakichś innych partii politycznych, chociaż takich za wielu nie widzę. I jakie mogą być związane z tym odczucia społeczne. Na tym Rosji zależy, żeby wprowadzić takie wątpliwości. Pytanie, czy Polacy kupią tę narrację. Na dwoje babka wróżyła. Nasza klasa polityczna nie prezentuje jedności w tym aspekcie - to też jest taki czynnik, który spowoduje, że te postawy mogą być ambiwalentne. Nie muszą być takie, jak nam się wydaje, że powinny być.

Mówi się, że w sytuacji zagrożenia bardzo często działa tak zwany efekt flagi, społeczeństwo głosuje za rządem, w nim niejako szuka pewnika, gwaranta bezpieczeństwa. To tak może działać także w tym wypadku?

To inny aspekt problemu, bo mówiliśmy o relacjach polsko-ukraińskich. Natomiast, jeżeli chodzi o bezpośrednie zagrożenie militarne, takie jak na przykład ataki dronowe - to tak, tak zwany efekt flagi powoduje, że zwiększa się poparcie dla rządzących. Stąd takie dzisiaj działania obozu władzy, które są naturalną reakcją na zagrożenia płynące z zewnątrz. Aczkolwiek, jak mówię, to są dwa różne tematy, bo efekt flagi to jedno, a drugie - to większa ilość ludzi, którzy będą się tego konfliktu bali i mówili o tym, żeby Ukrainie nie pomagać.

Myśli pan, że w ciągu najbliższych miesięcy wzrosną w Polsce nastroje antyukraińskie?

Tego bym się nie spodziewał, one są na stabilnie złym poziomie. Chodzi raczej o poszczególne punkty poparcia i ich rozkład w ramach partii prawicowych. Krótko mówiąc chodzi o to, czy w ramach partii prawicowych więcej wyborców pójdzie zagłosować na Konfederację Brauna, o której pani wspomniała, czy inne bardziej umiarkowane partie prawicowe.

Jakie jeszcze kwestie zagraniczne mogą być tematami tej kampanii oprócz wojny w Ukrainie i w ogóle kwestii Ukraińców w Polsce?

Ogólnie rozumiane tematy związane z bezpieczeństwem, sojuszami, z NATO, relacjami ze Stanami Zjednoczonymi. Aczkolwiek to będą, moim zdaniem, mniej wybrzmiewające tematy, bo polityka zagraniczna jest zazwyczaj dla Polaków mało interesująca w kampanii wyborczej. Skupiamy się na tym, co wewnątrz i co dotyczy spraw bezpieczeństwa, które bezpośrednio w nas uderzają i są w naszym zainteresowaniu. Więc pewnie pojawi się Trump, pojawią się Stany Zjednoczone, pojawi się NATO, ale głównie relacje ze Stanami czy z innymi sojusznikami, relacje z Unią Europejską, migracja – to dodatkowe tematy będące tłem dla zagrożeń bezpieczeństwa.

Temat służby zdrowia będzie pewnie głównie rozgrywała opozycja, prawda?

Tak się wydaje. Temat służby zdrowia jest trudny dla koalicji rządzącej, już nie mówię o przypadkach afer, historii tego lekarza z warszawskiego szpitala, ale przede wszystkim chodzi o dziurę budżetową czy lukę w NFZ-cie, o braku zapowiadanych przez premiera w ostatnich kilku miesiącach działań, nie mówię, że reformujących, ale poprawiających funkcjonowanie służby zdrowia. Na to nie ma pomysłu, zresztą opozycja również go nie ma, żeby oddać sprawiedliwość. Natomiast wiadomo, że to będzie woda na młyn opozycji, opozycja będzie kwestię służby zdrowia wykorzystywać, bo w niej jest dużo takich tematów, które można doskonale ograć.

Zapytam pana jako politologa, tak z czystej ciekawości: dlaczego służba zdrowia to temat, z którym nie poradził sobie właściwie żaden rząd?

eprasa.pl dcbe6e08c7

Pewnie dlatego, że wszyscy dzisiaj patrzą na krótkotrwałe efekty działań w tym zakresie. Patrzą przez pryzmat kolejnej kampanii wyborczej i kolejnych wygranych wyborów, a żeby wykonać jakąś sensowną reformę służby zdrowia czy dokonać poprawy tego systemu, potrzeba dwóch czy trzech kadencji Sejmu, czyli potrzeba jakiejś zgody ponadpartyjnej, do której nikt nie dąży. Nie okładania się kijami, tylko poczekania na efekty, bo w rok takiej reformy nie da się przeprowadzić. Nikt się tego nie chce podjąć. Zapomnijmy o jakichś okrągłych stołach i porozumieniu ponad podziałami w tym zakresie. A w związku z tym, że jest to temat odczuwalny na co dzień przez każdego z nas, bo każdy z nas chodzi do lekarza, to łatwo jest na służbie zdrowia zbijać kapitał polityczny, czy też łatwo o niej mówić w kampanii wyborczej. Trudno się politykom dziwić, że z tego korzystają, że krytykują kolejnych rządzących, podczas gdy sami nie proponują nic, co by radykalnie zmieniło sytuację. W tej kwestii bieżące cele polityczne dominują nad celem strategicznym, jakim powinna być reforma całościowa polskiej służby zdrowia.

Kolejne kwestie, o których pan wspomniał - sprawy kryminalne. Myśli pan, że afera Zondacrypto w jakiś sposób zaszkodzi prawicy podczas tej kampanii? Bo wydaje się, że koalicja rządząca mocno ją rozgrywa.

Koalicja ją rozgrywa, bo też trochę przykrywa nią inne tematy, których sama nie dowozi. Zondacrypto trafiło się koalicji rządzącej jako cudny temat zastępczy. Więc będzie nim grać. I jeżeli ta afera będzie rozwojowa, to na pewno zaszkodzi prawicy. Ten efekt jest zwykle odłożony w czasie. To nie jest tak, że od razu widzimy go w sondażach. Dzisiaj partie, notowania partii, są w ogóle odporne na takie krótkotrwałe zawirowania. Natomiast, ich efekty można zaobserwować podczas wyborów. Zwykle to działa tak, że część wyborców na przykład nie idzie później do głosowania. Niższa frekwencja, którą prawdopodobnie zobaczymy, bo ta ostatnia była rekordowa i wszystkie badania pokazują, że ona będzie niższa w przyszłych wyborach, jest złą wiadomością dla koalicji rządzącej, ale też może być złą wiadomością dla opozycji. Dlatego, że część wyborców może nie przerzuci głosów na Koalicję Obywatelską, na ugrupowania rządzące, ale po prostu zostanie w domach. I to też dotyczy wyborców opozycyjnych, partii opozycyjnych, a nie tylko partii koalicyjnych. Myślę, że to nie będą jakieś dramatyczne spadki. Natomiast w tym stanie notowań partyjnych, które dzisiaj mamy, bo tak naprawdę kilka punktów procentowych może zaważyć na tym, kto będzie rządził, to może być widoczne właśnie w najbliższych wyborach i może być przesądzające dla wyników partii opozycyjnych. Jeżeliby oczywiście ta afera cały czas była omawiana, dyskutowana, podnoszona, a myślę, że będzie ze strony koalicji rządzącej.

Tematem kampanii parlamentarnej w dalszym ciągu mogą być rozliczenia, prawda? Czyli wyciąganie kolejnych spraw rozliczeniowych przez koalicję rządzącą.

No tak, to może być tematem kampanii. Tyle tylko że badania pokazują, iż to nie jest już w takim zakresie zainteresowania szerokiej opinii publicznej. To już temat przebrzmiały. Może posłużyć jednie do mobilizacji własnego elektoratu, co oczywiście też jest ważne. Część elektoratu Koalicji Obywatelskiej szczególnie oczekuje dokończenia tych rozliczeń, chce widzieć ich efekty. Zondacrypto to temat świeży, on będzie grany i może być istotny, natomiast w badaniach rozliczenia stale spadają jako ważny element w podejmowaniu decyzji wyborczej.

Ekonomia jest dla Polaków zawsze ważna. Wojna na Bliskim Wschodzie, wysokie ceny paliwa mogą się przełożyć na to, że inflacja będzie wyższa i pewnie tak się stanie. Będzie się o tym dyskutować w najbliższych miesiącach, nie uważa pan?

Tak. Zawsze portfel to ważny temat kampanii wyborczych. To jest to, co nam w tym portfelu zostaje i na co możemy sobie pozwolić w codziennym życiu. Już widać, że opozycja próbuje w tym temacie punktować rząd. Oczywiście czynniki zewnętrzne wpływają na ceny paliw, a nie czynniki wewnętrzne, ale ataki opozycji to też pokłosie komunikacji wyborczej obecnej koalicji rządzącej w 2023 roku, która mówiła, że cenę benzyny można właściwie ustalać dekretami - przepraszam za sformułowanie - podczas gdy wiadomo, że ceny paliw kształtuje rynek światowy i poszczególne rządy, szczególnie takich państw jak Polska, mają na to niewielki wpływ. Ale podczas kampanii wyborczych obiecuje się gruszki na wierzbie, obiecuje się wpływ na wszystko. Zresztą takie jest oczekiwanie wyborców.
W związku z tym teraz opozycja punktuje rząd, koalicja broni się tłumacząc, że nie ma wpływu na to, co dzieje się na świecie. Dzisiaj jeszcze ta sytuacja nie ma dużego przełożenia na ceny artykułów, ale jeżeli ceny paliw utrzymają się, a wszystko na to wskazuje, to przełożenie w końcu się pojawi. Więc będzie to kolejny temat kampanii. Już dzisiaj mamy do czynienia z bardzo dużymi w ostatnich latach podwyżkami cen energii, prądu, gazu i jeżeli dojdą do tego podwyżki cen produktów codziennego użytku, to może się z tego zrobi dosyć ważny element kampanijnej narracji, opozycja będzie mówić o wszechobecnej drożyźnie. Zresztą tym tematem w 2023 roku grała dzisiejsza koalicja rządząca i ten temat do niej powróci, tylko z drugiej strony.

Jakie jeszcze tematy? Coś nas może zaskoczyć w ciągu tego roku? Pewnie tak.

Pewnie tak. Myślę, że jakieś personalne afery prawdopodobnie się pojawią. Trudno przewidzieć, z której strony, bo takich tematów jest pewnie wiele gdzieś tam jeszcze poukrywanych. Obie strony będą próbowały coś na takich aferkach ugrać. Aczkolwiek tematy aferalne wyciągane w ostatnich momentach zazwyczaj nie są skuteczne, dlatego że one, jak już mówiłem, nie działają od razu. Musi minąć trochę czasu, żeby zostały zinternalizowane przez wyborców. W związku z tym to, co wyjdzie w ostatniej chwili, raczej nie będzie działać, ale tematy, które pojawią się jesienią, mają szansę na przebicie się do świadomości wyborców. Mogą pojawić się jakieś kwestie związane z edukacją, kłótnie pomniejsze o jedzenie w szkołach, o programy szkolne, ale to będą dodatki do głównych kampanijnych sporów. Nawet temat standardowy, temat aborcji schodzi już w Polsce na dalszy plan. Mogą być podnoszone sprawy światopoglądowe jak rejestracja małżeństw jednopłciowych, migracja, ale to będą tematy drugiej, trzeciej, a nie pierwszej kategorii. Możemy sobie wyobrazić, że wokół nich będą toczyły się dyskusje, ale pewnie o mniejszym natężeniu.

Podział na prawej stronie sceny politycznej, myślę tu konkretnie o Prawie i Sprawiedliwości, z którego wyszedł Mateusz Morawiecki ze swoimi ludźmi, działa na plus prawicy czy na minus?

To zależy. Jeżeli chodzi o sam system przeliczania głosów na mandaty, to na minus. To może się jednak zrównoważyć.

Dlaczego?

Dlatego że wraz z powstaniem ugrupowania Morawieckiego, zasilili je nie tylko wyborcy PiS-u, ale też wyborcy niezdecydowani, czy też ci, którzy uciekli wcześniej w niegłosowanie. Więc to minus, jeżeli chodzi o system D'Hondta i o to, ile mandatów te ugrupowania dostaną łącznie. Natomiast plus może być taki, że część wyborców, którzy zrezygnowali z głosowania na partie prawicowe, wrócą do tego głosowania właśnie mając w ofercie ugrupowanie, powiedziałbym, bardziej umiarkowane, centroprawicowe-prawicowe, przewidywalne, nie tak bardzo radykalne.

Ale źle by się stało, dla prawicy oczywiście, gdyby ugrupowanie Morawieckiego nie weszło do Sejmu, prawda?

A zdecydowanie! To jest największe ryzyko tego projektu. Gdyby Rozwój Plus nie wszedł do Sejmu, to prawdopodobnie wtedy mamy stratę głosów taką, jaką mieliśmy w przypadku Lewicy dwie kadencje temu. A to oznaczałoby prawie pewne rządy obecnej koalicji w takiej czy innej konfiguracji. Szanse prawicy na ewentualne przejęcie władzy, nawet w tej skomplikowanej czteropartyjnej układance, byłyby praktycznie zniwelowane do zera. Bo stracone dla prawicy mandaty przejdą również w części na ugrupowania dzisiejszej koalicji.

Jak pan uważa, jak koalicja rządząca pójdzie do wyborów? Mówi się o dwóch, o trzech listach wyborczych. Jakie rozwiązanie byłoby najlepsze dla koalicji rządzącej?

Na dzisiaj wydaje się, że co najmniej dwie listy wyborcze. Jedna lista stwarza różne ograniczenia. Widzieliśmy to już w wyborach do Parlamentu Europejskiego. Ograniczenia są takie, że nie wszyscy będą chcieli głosować na taki zbiór różnych elementów, różnych programów pojawiających się na jednej liście. Tu szczególnie mówię o Lewicy, niektórym ta Lewica nie będzie leżeć, ale Lewica sama jest nad progiem i to stabilnie nad progiem, bo może dzisiaj liczyć na siedem, osiem procent poparcia. Więc może być po prostu składnikiem jakieś przyszłej koalicji. Uważam, że jedna lista wyborcza to zbyt dużo grzybów w barszczu. Niekoniecznie dałaby efekt taki, jakiego życzyliby sobie jej twórcy. Pytanie jest na dzisiaj takie: co z Polskim Stronnictwem Ludowym? Bo Polska 2050 w większości będzie na listach Koalicji Obywatelskiej. Natomiast z Polskim Stronnictwem Ludowym może być różnie. Ludowcy mają dzisiaj notowania lokujące ich lekko pod progiem wyborczym i tu prawdopodobnie może jeszcze dojść do jakichś przetasowań. PSL może pójść do wyborców w jakiejś koalicji, prawdopodobnie z Koalicją Obywatelską albo też mówi się o tym, że stworzy się jakieś ugrupowanie centrowe. W tym kontekście pada nazwisko Ryszarda Petru, czy Rafała Brzoski, czyli powstanie coś w stylu takiej Trzeciej Drogi, która pozwoliła objąć rządy dzisiejszej koalicji. Więc, podsumowując, zakładam, że Lewica pójdzie do wyborów sama, Koalicja Obywatelska będzie chciała wziąć jak najwięcej ugrupowań na swoje listy i zwiększyć efekt metody D'Hondta, przeliczania głosów na mandaty. Zakładam jednak, że może pojawić się jakieś ugrupowanie środka z PSL-em jako jego głównym motorem.

Co w ostatecznym rachunku zadecyduje o tym, jak zagłosują niezdecydowani?

To trudne pytanie. Oni w ostatecznym rachunku zdecydują się oddać głos na tę czy inną listę, widząc szanse poszczególnych bloków, ale też mogą na takie osoby bardzo oddziaływać różnego typu emocje, czyli strach przed czymś, albo gniew wobec jakiegoś zjawiska. Dla niezdecydowanych będą się liczyć te emocjonalne aspekty polityki, o których już dzisiaj mówiliśmy. Różne wydarzenia zewnętrzne i wewnętrzne, pozytywne i negatywne. O te emocje właśnie do końca będą walczyć partie polityczne.

Ta kampania może być ciekawa, bo póki co, szanse prawicy i tej drugiej strony wydają się wyrównane, prawda?

Dzisiaj sondaże dają lekką przewagę ugrupowaniom prawicowym, ale lekką właśnie. I też trudno będzie złożyć im koalicję. Także cały czas mamy wyrównanie szanse, nie poszczególnych partii, ale bloków. Bo dzisiaj nie mamy już takiego typowego duopolu PiS-PO, ale mamy duopol blokowy. Mamy blok prawicowy i liberalno-lewicowy, nazywając go tak w sporym uproszczeniu. To de facto potwierdza zjawiska polaryzacji, tylko troszkę innej, niż byliśmy przyzwyczajeni do tej pory, bo to już nie są tylko dwie partie polityczne, ale raczej dwa bloki grupowe.

Podczas kampanii wyborczych obiecuje się gruszki na wierzbie, obiecuje się wpływ na wszystko. Takie jest oczekiwanie wyborców

DR HAB. BARTŁOMIEJ BISKUP
politolog

eprasa.pl dcbe6e08c7

RECENZJA

„Lalka” to dla niektórych świętość. Czy Maślona ją zbrukał?

Gdy kilka miesięcy temu gruchnęła wiadomość, że niemalże równocześnie powstają dwie nowe ekranizacje „Lalki” Bolesława Prusa, Internet rozgrzał się do czerwoności. Filmowa „Lalka” z Marcinem Dorocińskim i Kamilą Urzędowską w rolach głównych do kin trafi 30 września, natomiast dzisiaj na Netflix debiutuje serial „Lalka”, gdzie jako Wokulskiego i Łęcką możemy podziwiać Tomasza Schuchardta i Sandrę Drzymalską. Jaka jest serialowa „Lalka”? Warto ją obejrzeć? Sprawdziłem

Krzysztof Połaski

„Lalka” Bolesława Prusa to wyjątkowa powieść. Dla niektórych - niemal świętość . Gdy tylko pojawia się temat filmowej bądź serialowej ekranizacji, a nawet adaptacji teatralnej, od razu rodzi się dyskusja na temat tego, jak powinny być przedstawione losy Stanisława Wokulskiego i Izabeli Łęckiej.

Historia niemożliwej do spełnienia miłości kupca galanteryjnego i szlachcianki była przede wszystkim rozliczeniem Prusa z ówczesną Polską . Z podobnego założenia wychodzą twórcy netfliksowej „Lalki”, czyli Paweł Maślona, Paweł Demirski oraz Jagoda Dutkiewicz , dla których tekst Bolesława Prusa jest jedynie punktem wyjścia do opowieści o wojnie klas i podzielonej Polsce.

Klasyki tu nie uświadczycie

Jeżeli liczycie, że serialowa „Lalka” od Netflix będzie wiernym przeniesieniem kart książki na ekran, to srogo się zawiedziecie. Maślona, Demirski i Dutkiewicz ani przez moment nie myśleli, żeby podejść do literackiej podstawy na klęczkach. I całe szczęście.

Więcej, gdyby taki autor, jak Paweł Demirski, od lat w swoich teatralnych dziełach dekonstruujący i przepisujący klasykę, tym razem podszedł do tematu w sposób standardowy, to pomyślałbym, że jest coś nie tak. To, co pewnie niektórych będzie uwierać, to język i jego wulgarność. Autorzy nie boją się rzucić „k**rwą” już na starcie, a w jednej ze scen Łęcka nazywana jest „głupią p**zdą”. Obrazoburcze? Być może, ale nadające bohaterom ton autentyzmu. Ot, kolejny kamyczek do jeziora hipokryzji ówczesnej rzeczywistości , bo przecież w domu Łęckich się nie przeklina, prawda?

Już od pierwszych minut autorzy wrzucają widzów do świata, który jednocześnie jest jakby wyjęty z „Lalki” Prusa, ale dodają dużo od siebie, a także od samego Bolesława Prusa, bo cytują i odwołują się w serialu do innych jego dzieł. Tworzy to pełny obraz XIX-wiecznej Polski, która pod względem mentalnym wcale nie jest taka daleka od tej, którą znamy współcześnie. Może i mamy kanalizację czy prąd, ale jednocześnie w społeczeństwie wciąż jest wiele pogardy i przekonania o własnej wyższości, co doskonale obrazuje plemienna walka dwóch zwaśnionych obozów politycznych i ich wyznawców.

Ależ to jest zagrane!

Tomasz Schuchardt jako Stanisław Wokulski jest wyborny. Autorzy nie romantyzują na szczęście tej postaci w żaden sposób i przedstawiają go jako poniekąd typa spod ciemnej gwiazdy, który dorobił się w niejasny sposób na wojnie i układach z Rosjanami.

W tej interpretacji Wokulski tak właściwie jest zwykłym chamem, który chce wejść na salony. Jego miłość, bądź iście wariackie zauroczenie Łęcką, jest na dobrą sprawę jednym ze sposobów, dzięki którym Stanisław może podnieść swój społeczny status. Wyjątkowa jest rela-

AKCJA SPECJALNA HIPOKRATES 0011583500

Pomaganie to dawanie cząstki siebie

Zapraszamy na rozmowę z Barbarą Żołną, farmaceutką, edukatorką i działaczką społeczną, nagrodzoną we współorganizowanym przez markę Apteo konkursie „Recepta na dobro".



Dlaczego właśnie farmacja?
Już jako mała dziewczynka uwielbiałam czytać i kolekcjonować ulotki leków. Nie sądziłam jednak, że uda mi się rozwijać w tym kierunku. Pochodzę z małej wsi, moi rodzice prowadzili gospodarstwo, więc na pewno nie było im łatwo, ale zadbali o to, żebyśmy otrzymali wykształcenie na najwyższym poziomie. Dzięki nim moje marzenie stało się rzeczywistością. A ja nigdy nie żałowałam wybranej drogi. Zawód farmaceuty daje mnóstwo możliwości, nie tylko pracy w aptece. W moim przypadku to prowadzenie szkoleń, tworzenie branżowych materiałów edukacyjnych czy wydawanie biuletynu Śląskiej Izby Aptekarskiej.

Dodatkowo w czasie wolnym organizuje Pani zajęcia dla dzieci i seniorów. Która grupa wiekowa jest bardziej wymagająca?
Dzieci na pewno potrafią zaskoczyć. Kiedyś na zajęciach w przedszkolu zaprezentowałam się w fartuchu i zapytałam: „Jak myślicie, gdzie pracuję?”. Dzieci bez wahania odpowiedziały: „W piekarni”. Kiedy wyjaśniłam, że jestem farmaceutką, okazały ogromne zainteresowanie. Razem przygotowywaliśmy różne medyczne receptury, maści z witaminami i kapsułki z pudrowych cukierków.

A skąd pomysł na działania z seniorami?
W pobliskim domu seniora często odbywają się spotkania z historykami, dietetykami czy fizjoterapeutami. Pomyślałam, że jako farmaceutka też mam coś wartościowego do zaoferowania, wyszłam więc z inicjatywą serii zajęć edukacyjnych. Zainteresowanie przerosło moje oczekiwania. Seniorzy są bardzo zaangażowani, staram się ich odwiedzać przynajmniej raz w miesiącu. Podczas zajęć rozmawiamy np. o nadciśnieniu, cukrzycy, bezsenności oraz właściwym nawodnieniu. Opowiadam też o usługach dostępnych w aptekach, np. o przeglądach lekowych.

Na czym polegają takie przeglądy?
Razem z pacjentami sprawdzamy substancje czynne poszczególnych leków, wykluczamy interakcje i spisujemy ewentualne uwagi dla lekarzy prowadzących. Ku mojemu zaskoczeniu jeden z tych lekarzy zadzwonił, żeby osobiście pogratulować mi wykonanej pracy. To pokazało ogrom możliwości, jakie daje współpraca, łączenie działań różnych specjalistów, przede wszystkim zaś stawianie pacjenta w centrum. Mam nadzieję, że coraz częściej będziemy dostrzegać w innych pracownikach ochrony zdrowia równorzędnych partnerów, a nie wrogów.

Właśnie za taką postawę została Pani dostrzeżona w konkursie „Recepta na dobro". Jakie emocje towarzyszyły wyróżnieniu?
Ogromne! Poczułam, że jestem na dobrej drodze i dostałam mnóstwo motywacji do dalszego działania. Łączenie charytatywnych aktywności z pracą zawodową oraz życiem osobistym bywa trudne, nie zamierzam się jednak poddawać. Zwłaszcza teraz, kiedy kompetencje farmaceutów się zwiększają - warto z tego korzystać, wychodzić z inicjatywą, dzielić doświadczeniem. Konkurs pokazuje, że już teraz wielu farmaceutów wspiera pacjentów w nieszablonowy sposób!

A jak rozumie Pani hasło przewodnie konkursu? Czym jest recepta na dobro?
Recepta kojarzy się z antidotum, remedium. Dla mnie więc to hasło oznacza, że w medycynie i farmacji kluczowa jest nasza postawa - profesjonalizm, życzliwość, chęć niesienia pomocy czy odpowiedzialność za drugiego człowieka. To wartości, których nie da się zamknąć w opakowaniu leku, a które każdego dnia przekładają się na bezpieczeństwo oraz zdrowie pacjentów.

eprasa.pl dcbe6e08c7

cja Łęckiego z Rzeckim; Dariusz Chojnacki pięknie wykreował właściwie jedynego tak bardzo pozytywnego bohatera w serialu, który jest idealnym filtrem dla tej zdeprawowanej rzeczywistości.

Z kolei Łęcka , brawurowo zagrana przez Sandrę Drzymalską, zyskuje w tej „Lalce" charakter . To nie jest ładniutka laleczka, jak często przedstawia się Izabelę, a kobieta z krwi i kości, która może i do końca jeszcze nie wie, czego chce, ale z całą pewnością wie, czego nie chce. Łęcka angażuje się w działalność społeczną i staje się aktywistką, ale czy na pewno zależy jej na dobru uboższych czy zwyczajnie obecność na świeczniku łechta jej ego?

No właśnie... I to mi się szalenie podoba w „Lalce" Pawła Maślony, bo Wokulski i Łęcka tak naprawdę są tacy sami . Zależy im na uwadze i zrobieniu szumu wokół siebie, dlatego też tak mocno ze sobą wojują.



FOT. MAT.PRAS. NETFLIX

Już od pierwszych minut autorzy wrzucają widzów do świata, który jednocześnie jest jakby wyjęty z „Lalki" Prusa, ale dodają dużo od siebie

Zakłamany świat szlachty

W netfliksowej „Lalce" historia miłości Wokulskiego do Łęckiej to tak właściwie jedynie zarzutka do namalowania zidiociałego i zakłamanego świata szlachty. Biedujący, niemający praktycznie żadnej wiedzy, wyprzedający Żydom swoje majątki, mają tylko jedno - arystokratyczne pochodzenie.

Mimo że rodowymi herbami się nie najedzą, to żyją w ułudzie, gdzie każdy gorzej urodzony, nawet jeżeli posiada pieniądze i potrafi je mnożyć, jest dla nich zwykłym śmieciem i zrobią wszystko, żeby takiego człowieka wykorzystać i zgnoić. Wokulski im nie imponuje, nie rozczulają się nad nim, ale mają za zwykłego robaka, pospolitego karalucha, który pragnie wkroczyć do ich świata.

Tutaj przodują w tym Baron Krzeszowski (genialny Piotr Adamczyk) oraz Starski (Piotr Pacek), którzy są do szpiku kości źli, że nóż w kieszeni otwiera się na sam ich widok. Jednak widowisko najbardziej kradnie serialowy zapijaczony Tomasz Łęcki , którego doskonale wykreował Jacek Braciak . W jego interpretacji to człowiek na granicy szaleństwa, który przetańczył i przepił wszystko co miał, a że jeszcze została mu córka, to postanowił ją zmonetyzować. A że Wokulski jest jej największym fanem...

Podoba mi się świat serialowej „Lalki". Z jednej strony szlachta i wykwintne bale, a z drugiej brudna rzeczywistość, w której fekalia płyną ulicami, a biedota pada jak muchy. Kraj, nad którym łapę trzymają Rosjanie, chyli się ku upadkowi, a arystokracja baluje i kombinuje kogo tym razem można oskubać. Wymowne i prawdziwe.

Warto obejrzeć „Lalkę"?

Serialowa „Lalka" jest odważna, szalona i niezwykle współczesna. Doceniam nowe wątki, jak chociażby ten z Elizą Orzeszkową, który podbija wszystkie konteksty. Reżyserujący serial Paweł Maślona bawi się gatunkami; całość zaczyna się dość klasycznie, aby ewoluować w kolejnych odcinkach. Później otrzymujemy thriller i horror, aby w ostatnim odcinku zaserwować widzom coś w stylu... twórczości Guya Ritchiego. Poniekąd Maślona inscenizuje w finałowym epizodzie na nowo swojego „Kosa", ale więcej nie zdradzę.

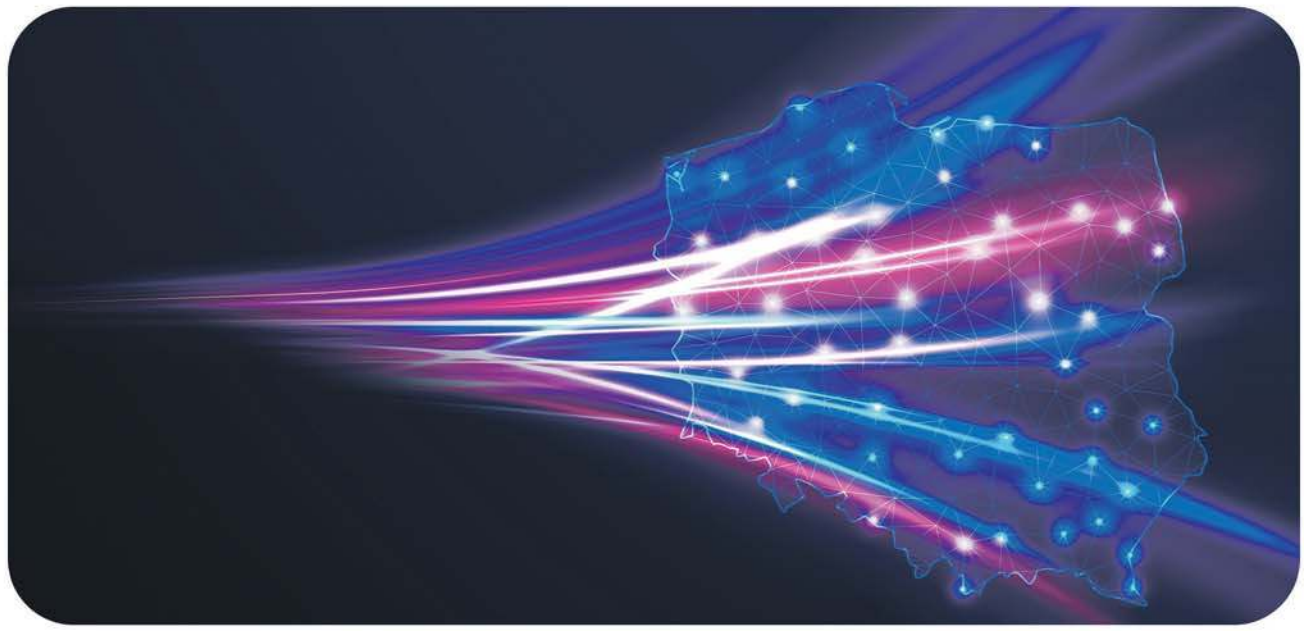
To trzeba po prostu zobaczyć. „Lalkę" od Netflix ogląda się wybornie, a sześć odcinków mija błyskawicznie. Kawał świetnego widowiska, które nie gryzie się w język i nie boi się reinterpretacji klasyki. Właśnie tak to się powinno robić.

AUTOPROMOCJA 0011584113

ENERGIA Z POLSKI
LOCAL FIRST

28 WRZEŚNIA
W WARSZAWIE
FORUM POLSKICH DOSTAWCÓW

ZAPISZ SIĘ JUŻ DZIŚ!



Forum adresowane jest do polskich przedsiębiorstw, które – dzięki specjalistycznym kompetencjom i zdolności szybkiego reagowania – mogą stać się istotnymi partnerami dla Skarbu Państwa, innych dużych inwestorów publicznych i największych polskich firm państwowych.

WIĘCEJ SZCZEGÓŁÓW:
energiazpolski.pl

Organizator POLSKA PRESS GRUPA

Patronat Honorowy
Wiceprezes Rady Ministrów Minister Obrony Narodowej
Władysław Kosiniak-Kamysz
Ministerstwo Aktywów Państwowych
Ministerstwo Energii
Minister Infrastruktury

eprasa.pl dcbe6e08c7

GWIAZDA TYGODNIA

Tomasz Schuchardt: Mam dziewięcioletnią córkę i na pewno na razie nie puszczę jej „Lalki”

W serwisie Netflix pojawił się właśnie serial „Lalka”, zainspirowany powieścią Bolesława Prusa. Rozmawialiśmy z Tomaszem Schuchardtem, wcielającym się w sześcioodcinkowej produkcji w postać Stanisława Wokulskiego

Paweł Gzyl

Poloniści twierdzą, że „Lalka” to jedna z niewielu klasycznych polskich powieści, które wywołują emocje wśród czytającej go współczesnej młodzieży licealnej. Tak było i w twoim przypadku?

Czytałem w liceum wszystkie lektury, ale sięgnięcie po „Lalkę” długo odwlekałem. Kiedy przerabialiśmy ją w drugiej klasie, prawdopodobnie wyłgałem się z pomocą „bryka”. Przed maturą stwierdziłem jednak, że wypada ją przeczytać. Chwyciłem „Lalkę” i pochłonąłem ją jednym tchem, a potem zaraz drugi raz. (śmiech) Tak mi się spodobała. Plułem sobie później w brodę, że tak długo ją omijałem. Może przez ten swój tytuł „Lalka” początkowo wydawała mi się lekturą dla dziewczyn. Po przeczytaniu zrozumiałem, że jest też bardzo dla chłopaków.

Jak zapamiętałeś postać Wokulskiego z tych szkolnych czasów?

Na pewno zapamiętałem jego czerwone ręce. I bardzo chciałem, żeby zostały pokazane w serialu. Pamiętam też, że choć Wokulski był postacią z pozytywistycznej powieści, w moich szkolnych czasach był odczytywany przez polonistów romantycznie. Byłem szczerze zaskoczony, kiedy dowiedziałem się, że następne pokolenie postrzega go już w zapożyczonych z angielskiego kategoriach typu „stalker” czy „creep”. Ja zapamiętałem go przede wszystkim jako faceta, który był beznadziejnie zakochany. Do tego stopnia, że poświęcił wszystko dla miłości, która okazała się mrzonką.

Co sprawiło, że zechciałeś zagrać tę postać?

Wokulski został mi zaproponowany bez castingu. Kiedy ktoś myśli właśnie o tobie w kontekście opowiedzenia historii, to dla aktora jest niezwykle nobilitująca sytuacja. Ale „Lalka” to były lata przygód. Po raz pierwszy usłyszałem o tym, że ktoś chce ponownie zekranizować powieść Prusa na długo przed tym, zanim robienie „Lalek” stało się modne. (śmiech) Początkowo miał ten serial produkować Michał Kwieciński. Podczas jego rozmowy z reżyserem, który miał się tym zająć, padło moje nazwisko. Byłem wtedy po „Wielkiej wodzie” i zaczynałem mieć dużo pracy. Michał zadzwonił więc, bo uznał, że musi mnie zarezerwować dla roli Wokulskiego. Kiedy usłyszałem tę propozycję, od razu pomyślałem: „Może to jest moje ukryte marzenie?”. Bo już w pierwszym momencie przeszedł mnie dreszcz ekscytacji. Ale wtedy to dopiero był pomysł i do jego realizacji wiodła jeszcze długa droga. Potem zmienił się reżyser i nagle dowiedziałem się, że Paweł Demirski będzie pisał scenariusz, a serial wyprodukuje syn Michała – Janek Kwieciński. Nikt mnie wtedy już nie chciał wymienić, zapytano więc tylko, czy nadal jestem na pokładzie. Potwierdziłem – i dopiero po jakimś czasie usłyszałem, że reżyserować będzie Paweł Maślona. Wtedy zaczęły się castingi do pozostałych ról, w których aktywnie uczestniczyłem. Byłem więc w tym projekcie od samego początku.

Scenarzyści serialu Netflixa postanowili opowiedzieć „Lalkę” na własny sposób. Co ci się najbardziej spodobało w ich oryginalnym pomyśle na interpretację tej powieści?

Przede wszystkim spodobało mi się, że ta historia została inaczej opowiedziana niż u Prusa. Skoro mamy już książkę i dwie adaptacje, to po co robić coś takiego samego? Wielu ludzi oczekuje od ekranizacji przeniesienia powieści jeden do jednego. Tymczasem dla mnie przyłożenie innych akcentów i dopisanie nowych wątków nie jest niczym złym, tylko czymś ,co pozwala spojrzeć na tę uniwersalną historię trochę inaczej, świeżo i na nowo. Spodobało mi się też w tym scenariuszu, że bohaterowie Prusa zostali potraktowani z miłością. To bohaterowie w pełni „prusowscy”. Po wypuszczeniu trailera odezwały się głosy, które twierdziły, że podchodzimy do tej powieści z brakiem szacunku i zmieniamy ją, bo została źle napisana. (śmiech) Tymczasem jest dokładnie odwrotnie – scenarzyści, szanując klasykę, dyskutują z nią. Dzieła wybitne – jak „Lalka” – są tak bogate, wielowymiarowe i zakorzenione w wyobraźni autora, że każda ich próba wiernej adaptacji często kończy się porażką. Film to medium, które posługuje się m.in. obrazem, montażem i skrótem. Potrzebuje więc własnego języka.

Największy wpływ na kształt tej serialowej opowieści miał chyba Paweł Demirski.

Paweł Demirski jest znany z teatralnych dokonań, w których reinterpretował na swój sposób polską klasykę. Kiedy spotkaliśmy się z nim przed wejściem na plan, powiedział, że zobaczył w powieści Prusa potencjał, aby opowiedzieć tę historię poprzez humor. I właśnie to dostajemy w tym serialu, jednocześnie z zachowaniem miłości do bohaterów, ich charakterów, namiętności i uczuć.

A Paweł Maślona?

Paweł miał jeszcze inne podejście. On uważa, że kiedy bierze się jakąś powieść do zekranizowania, to ważne jest, aby w niej znaleźć film. A wcale nie jest to takie oczywiste, bo nie każda książka ma w sobie ten potencjał. Wiele jest takich, które są dla filmu za trudne, zbyt chaotyczne lub po prostu nieciekawe. I chwała im za to, bo od tego jest właśnie literatura. Kiedy czytamy jakąś książkę, pracuje nasza wyobraźnia. U każdego inaczej. Kiedy natomiast przystępuje się do ekranizacji powieści, należy stworzyć fabułę – bohaterów oraz konflikty, które nimi powodują – i opisać ją obrazem, który stanie się wspólnym doznaniem wielu widzów.

Jak to zadziałało w serialu?

Tam jest oczywiście dużo zmian, jeśli chodzi o treść książki. Niektóre rzeczy są podkreślone, a inne – przesunięte w tło. Czymś takim jest walka klasowa, ta pozytywistyczna myśl, że pracą u podstaw możemy zmienić nasze życie. Tłem jest także to, że Wokulski walczył w Powstaniu Styczniowym, że dorobił się na wojnie, że jest patriotą, że bardzo interesują go wynalazki i cała rewolucja przemysłowa. W serialu jest tego mało, bo nasza opowieść miała się skupić na człowieku i jego namiętnościach. Dużo bardziej przyłożyliśmy się do rozbudowania charakterów poszczególnych postaci. Oczywiście zawsze jest coś za coś. Albo szczegółowe opowiadanie o historii i niuansach epoki zabierze nam czas ekranowy, przeznaczony na pokazanie emocji bohaterów, albo tło historyczne potraktujemy faktycznie jak tło, a tchniemy w zamian większe życie w postacie. My postawiliśmy na to drugie, dlatego w serialu każdy z bohaterów jest pełnokrwisty i ma swój koloryt, dzięki czemu my aktorzy mieliśmy tam naprawdę dużo do zagrania.

O ile w powieści Wokulski jest pozytywistą z sercem romantyka, tak tutaj jest kapitalistą, który postrzega świat w kategoriach zysku i straty. Tak zarysowana postać będzie bliższa widzowi z XXI wieku?

Nie zgadzam się z tą interpretacją. Oczywiście Wokulski ma cechy kapitalisty, bo wie, gdzie i jak zdobywa się pieniądz. Pokazuje jednak tę stronę swej osobowości tylko przed klasą wyższą, do której aspiruje. Ale nie do końca kapitalistycznie postępuje ze swoim majątkiem: jest w stanie roztrwonić go na to, co jest dla niego najważniejsze – na tę chorobliwą miłość. Trochę innego Wokulskiego poznajemy w serialu na początku, a trochę inaczej z nim kończymy. Podobnie jest zresztą z Łęcką, która w książce jest dość płaska, natomiast w filmie przechodzi niezwykłą metamorfozę. Trzeba też postrzegać te postaci nie z dzisiejszej perspektywy, ale pamiętając w jakich czasach żyli i jakie mieli możliwości. Kiedy się o tym zapomina, patrzy się na nie bez tej wspomnianej miłości i szacunku.

Przez większą część serialu Wokulski jawi się widzowi jako ktoś tajemniczy i wręcz niebezpieczny. Jest powściągliwy i małomówny. To było dla ciebie utrudnieniem w tworzeniu tej postaci?

To efekt zabiegów Pawła Maślony, poczynionych w montażu. Ale bardzo mi się to podoba. Chcieliśmy bowiem utrzymać tajemniczość Wokulskiego jak najdłużej. Z drugiej strony zależało nam, aby widz dostrzegł, że jego zadurzenie w Łęckiej jest prawdziwe. To nie jest jakaś dziwna gra czy założenie. Wokulski nie potrafi jedynie odpowiednio dobrać środków, by wyrazić to, co naprawdę czuje. Była jednak scena, która nie weszła do serialu, a trochę inaczej ustawiała Wokulskiego. Stwierdziliśmy jednak przy finalnym montażu, że to nie jest dobra droga, by go tak pokazać. Bo jawił się w niej jako osoba, która wszystko robi z wyrachowania. To była zaledwie jedna scena, która pozwalała tak odczytywać tę postać. Usunęliśmy ją – ściślej mówiąc reżyser to zrobił (śmiech) – i słusznie. W efekcie widz inaczej postrzega Wokulskiego. Na tym polega siła montażu. Pawłowi zależało bardzo na silnych postaciach kobiecych. Dlatego musieliśmy trochę przebudować moją postać: na początku zabrać jej nieco sprawczość, aby podkreślić sprawczość Łęckiej. Bo i tak wszystko później ładnie puentuje się w szóstym odcinku. Łęcka uczy się przez działanie, a Wokulski – przez obserwowanie. W ten sposób pokazujemy dwie odrębne postawy wobec życia.

Często podkreślasz w wywiadach, że budujesz każdą postać z siebie: ze swoich emocji, przemyśleń czy doświadczeń. Ile siebie zobaczyłeś w tym netfliksowym Wokulskim?

To nie do końca tak. Na pewno nie jest tak, że grając w scenie pogrzebu, muszę przypominać sobie pogrzeby, w których sam uczestniczyłem. (śmiech) Tu chodzi bardziej o to, że podstawowym narzędziem aktora do budowania roli jest jego własne ciało. Dlatego tworząc jakiegoś bohatera, podkręcam potrzebne mi do tego jedne cechy, które mam w sobie, a drugie – ograniczam. To są choćby te czerwone ręce, które kazałem sobie kolorować każdego dnia zdjęciowego, bez względu na to, czy było to potrzebne czy nie. Ale to są też moje emocje, które staram się rozumieć tak, jak ja je rozumiem. Niekoniecznie musiałem być w życiu beznadziejnie zakochany, aby zagrać Wokulskiego. Wystarczyło mi odnaleźć w sobie to, gdzie by to było we mnie, gdybym tak miał. Jakbym się zachowywał, gdybym był w takiej sytuacji jak Wokulski. To oczywiście nie jest takie proste.

Jak było w tym przypadku?

Na początku zawsze mocno wnikam w literę tekstu. Dlatego na nowo przeczytałem „Lalkę”. Potem były rozmowy z reżyserem, scenarzystą i z innymi aktorami. Do tego mieliśmy warsztaty z panią, która uczyła savoir-vivre'u z XIX-wiecznych salonów. Kiedy nasiąkłem tym wszystkim, następował kolejny niezbędny etap w kreowaniu postaci – zapominanie o tym, czego się dowiedziałem, aby myśleć jej emocjami. Bo i tak podprogowo całe te przygotowania wychodzą podczas grania sceny. Ja mam takie podejście: najpierw solidnie się przygotować, a potem zaufać instynktowi na planie. Bo ten instynkt nie odpływa w żadne dziwne rejony przez to, że mam bardzo dobrze zrobiony cały background.

eprasa.pl dcbe6e08c7

Dwie dotychczasowe wersje filmowe „Lalki" mocno wryły się w świadomość starszych pokoleń. Obejrzałeś je i chciałeś się w swej pracy jakoś odnieść do kreacji Jerzego Kamasa i Mariusza Dmochowskiego sprzed lat?

Serialową „Lalkę" z Kamasem pamiętam z dzieciństwa. Pewnie gdzieś leciała w telewizji, jak inne peerelowskie seriale w rodzaju „Czterech pancernych" czy „Klossa". Została mi w głowie z tego tylko twarz Kamasa. Tej ekranizacji z Dmochowskim chyba nie widziałem nigdy. Przed samym wejściem na plan nie oglądałem w ramach przygotowań ani jednej, ani drugiej. Ja nie robię takich rzeczy. Nie chcę się „infekować" interpretacją innego twórcy. Zwłaszcza, że mamy źródło – powieść Prusa. Ono było dla mnie najważniejsze. Jego interpretacje w ogóle mnie nie interesowały, bo nie chciałem się czymkolwiek sugerować. Nigdy nie podchodzę do jakiegoś aktorskiego zadania w taki sposób, że z czymś czy z kimś się mierzę. Oczywiście, ludzie będą mnie porównywać z Kamasem czy Dmochowskim, a za chwilę z Dorocińskim. Żyję już trochę na tym świecie i wiem, że części osób przypadnę do gustu, a części – nie. Nie mam więc zamiaru z tym walczyć. Ja zawsze chcę zagrać swą rolę najlepiej jak umiem. Kiedy potem oglądam siebie na ekranie, mam czasem wrażenie, że mogłem zrobić coś lepiej. A tutaj po raz pierwszy jestem w pełni zadowolony z tego, co powstało.

Paweł Maślona od początku szukał aktora, który potrafiłby przełamać tradycyjne myślenie o Wokulskim. Dużo wolności otrzymałeś w tworzeniu tej postaci?

Praca z Pawłem to marzenie każdego aktora. Poznałem go dosyć wcześnie – był asystentem Marcina Wrony przy „Chrzcie", w którym debiutowałem. Potem był współscenarzystą „Demona", ale nie nakręciliśmy nic razem, mijaliśmy się tylko prywatnie. Jak kumpel z kumplem. I nagle po tych wszystkich latach, spotkałem go na planie „Lalki", ceniąc jego myślenie o świecie i poczucie humoru. I podczas tej wspólnej pracy otworzyły się przede mną takie przestrzenie, których zupełnie się nie spodziewałem. Paweł korzysta na planie z czegoś, co się nazywa clamshell – monitora bezprzewodowego, który można nosić ze sobą. Dzięki temu był zawsze blisko kamery i mógł uczestniczyć w każdej scenie. To pozwalało mu na gorąco reagować i na świeżo dawać uwagi aktorom, przejmując ich emocje. Kiedy potrzebował radosnej sceny, był w takim samym stanie euforii jak my. I na odwrót: kiedy była smutna i trudna do zagrania sekwencja, Paweł też w to wchodził, będąc jakby dodatkowym aktorem. W efekcie schodził z planu tak samo zmęczony jak my. (śmiech) Scenę kłótni Wokulskiego i Łęckiej z ostatniego odcinka kręciliśmy w pałacyku pod Wałbrzychem przez trzy dni. To była ciężka praca, ale do przeżycia, bo Paweł był z nami. Mało tego: po zejściu z planu siedzieliśmy jeszcze w nocy pod hotelem, zastanawiając się co jutro moglibyśmy zrobić, żeby było lepiej. Coś takiego rzadko się zdarza. Paweł dawał nam mnóstwo energii z siebie, ale też czerpał ją z nas. Uzupełnialiśmy się w ten sposób i było to wspaniałe.

Kluczowym wątkiem powieści jest oczywiście miłość Wokulskiego do Łęckiej. Początkowo nie wiadomo czy Wokulski kocha ją szczerze, czy traktuje przedmiotowo jako klucz do awansu społecznego. Ta niejednoznaczność tej relacji była dla ciebie istotna przy tworzeniu postaci Wokulskiego?

Tu ważne było kolejne spotkanie – tym razem z Sandrą Drzymalską. To wspaniała aktorka. Tuż przed „Lalką" zagraliśmy małżeństwo w serialu „Breslau". Wspieraliśmy się więc na planie – a najbardziej podobało mi się to, że w momentach, kiedy mój bohater był nie do końca cool, Łęcka przykrywała to swoim postępowaniem. I odwrotnie. A wynika to ze starej teatralnej zasady, głoszącej, że „króla buduje dwór". Wszystko to przenika się ze sobą aż do szóstego odcinka, w którym spotyka się i wyjaśnia. Tam następuje zderzenie i oczekiwana konfrontacja, która oczyszcza nie tylko atmosferę, ale daje też oddech widzowi, który czeka na nią przez sześć odcinków.

Bohaterowie serialu posługują się współczesnym językiem. To był dobry pomysł?



FOT. MAT. PRAS. NETFLIX

Tomasz Schuchardt: Niekoniecznie musiałem być w życiu beznadziejnie zakochany, aby zagrać Wokulskiego. Wystarczyło mi odnaleźć w sobie to, gdzie by to było we mnie, gdybym tak miał

Dobrze by było zapytać o to profesora Miodka czy Bralczyka. Netflix zorganizował mi rozmowę z moją polonistką i wychowawczynią z czasów liceum – Katarzyną Budną. Zobaczyliśmy się pierwszy raz od szesnastu lat. Ponieważ obejrzała wcześniej serial, spytałem czy bardzo drażnił ją ten współczesny język w ustach bohaterów „Lalki". Liczyłem trochę na burę, a tu tymczasem ona powiedziała z totalnym uśmiechem: „Tomek, język polski jest bardzo pojemny. Jest w nim miejsce na wulgaryzmy, ale i na wyszukane słownictwo". Okazało się, że z perspektywy polonistki i fanki „Lalki" w ogóle jej to nie przeszkadzało, bo historia była na tyle interesująca, że już po pierwszych minutach przestała porównywać go z oryginalnym tekstem Prusa.

Wiedzieliście na pewno, że równolegle powstaje kinowa wersja „Lalki". Podobno wręcz mijaliście się w lokacjach. Miało to wpływ na atmosferę pracy na planie serialu?

Myślę, że nie. Nie dało się nie mieć takiej świadomości, bo przy kinowej „Lalce" wybrano taki rodzaj promocji, że co dwa tygodnie dowiadywaliśmy się o nowych gwiazdach w jej obsadzie. (śmiech) Do tego nasza branża w Polsce jest nieduża i ja z moim doświadczeniem znam chyba wszystkich aktorów, którzy zagrali w tamtym filmie. Prawie z wszystkimi gdzieś się przeciąłem. Znam też bardzo dobrze operatora. (śmiech) To są oczywiście wybitni twórcy, więc spodziewam się, że to będzie bardzo dobry film. My wybraliśmy inną drogę: wiedzieliśmy, że mamy prawdziwą perełkę i jeśli włożymy w nią wysiłek, który włożyliśmy, to będzie coś naprawdę wybitnego. I na tym się skupiliśmy – na naszej robocie. Myślę, że tak samo było na planie kinowej „Lalki". A że spotkamy się z różnymi opiniami, to jesteśmy na to przygotowani, bo przecież na tym polega ten zawód.

Kiedy się zaczyna odtwarzać serial w Netflixie, pojawiają się ostrzeżenia: „Seks, przemoc, środki odurzające, wulgaryzmy". Jak zareagują na taką „Lalkę" widzowie?

To jest znak czasów. Takie ostrzeżenia kojarzą mi się z coraz dłuższymi ulotkami do lekarstw. Teraz nawet witamina C ma całą listę działań niepożądanych. (śmiech) Gdyby dziś wziąć „Titanica", to też byłyby ostrzeżenia, że jest tam seks i przemoc. Ale ja to popieram: nigdy dość chronienia młodego widza. Żyjemy w czasach kultu przemocy i seksualizacji, który jest zasługą nie filmów, ale różnych programów telewizyjnych i internetowych. Nasz serial jest dla widzów od 16. roku życia. Ja mam dziewięcioletnią córkę i na pewno na razie nie puszczę jej „Lalki". Wiele osób po premierze trailera serialu było oburzonych, że kalamy polski język. Tymczasem to nieprawda. Są wulgaryzmy, ale na pewno nie jest to język z blokowiska lat 90. Jeśli chodzi o czystość języka, to wszyscy jesteśmy mądrzy, dopóki wstając rano nie uderzymy się w palec od stopy. Wtedy nie ma lepszego słowa niż to na „k", które oddawałoby trafniej, co czujemy. (śmiech) I my właśnie poszliśmy tym tropem.

Na pewno największe emocje wywoła finałowy odcinek. Cała opowieść nagle zamienia się w nim w kryminalną komedię w duchu filmów Quentina Tarantino czy Guya Ritchiego. Jak ci się to spodobało, kiedy czytałeś scenariusz?

Pomyślałem sobie, że nie moglibyśmy sobie wymarzyć lepszego zakończenia. Byłem więc w nim zakochany już na etapie wstępnej wersji scenariusza. Potem przy próbach stolikowych uległ on jednak dosyć mocnym zmianom. Paweł bardzo liczył na nasze opinie i głosy. Każdy z aktorów miał z nim indywidualne próby i wtedy mogliśmy coś zmienić i poprawić. Paweł dużo brał z tych rozmów i ciągle coś zmieniał. Zdarzało się, że działo się to nawet już na samym planie. Była to więc ciągła praca. Ten główny wątek nie zmieniał się jednak i ta puenta jest bardzo mocna: niejednoznaczna oraz zostawiająca możliwość różnych interpretacji i pewien niedosyt.

Czyli apetyt na ciąg dalszy.

(śmiech) Na ciąg dalszy, który nie następuje. Ale ja lubię takie poczucie niedosytu, kiedy po obejrzeniu jakiegoś dobrego serialu, mówię: „Kurde, naprawdę nie będzie drugiego sezonu?". Bo czasem jest tak, że ktoś produkuje te kolejne sezony, a to nie ma większego sensu. Tutaj nie ma wątpliwości, że to „Lalka" – i my mocno bazujemy na powieści. Co ciekawe: Prus publikował ją pierwotnie w odcinkach w prasie i my teraz też mamy ją w odcinkach. To taki dodatkowy smaczek.

Mam wrażenie, że wasza „Lalka" jest dla młodego widza, a kinowa „Lalka" będzie dla starszych pokoleń. Zgodzisz się?

Nie widziałem jeszcze kinowej „Lalki", więc nie mogę wypowiadać się na ten temat. Jeśli założymy, że będzie ona bliska książki, to obejrzą ją nie tylko starsi widzowie, ale też młodzież, choćby uczniowie liceum. (śmiech) Nie oznacza to, że nasza „Lalka", będąc atrakcyjną dla młodych ludzi, nie spodoba się komuś starszemu. Moja nauczycielka polskiego jest o pokolenie starsza ode mnie, a serial bardzo jej się spodobał. Nie lubię, kiedy dziennikarze kategoryzują, że coś jest dla tych, a coś jest dla tamtych, bo możemy w ten sposób wykluczyć tych, którzy trochę inaczej się czują. Znam przecież wielu starszych ludzi, którzy są młodzi duchem – i na odwrót. Poza tym, naszą „Lalkę" nie zrobili ludzie z pokolenia Z. Paweł i ja mamy koło czterdziestki, Sandra ma 33 lata. To nie są nastolatkowie. Jeśli ktoś jest otwarty na świat i nie ma tendencji do oceniania, a w zamian cechuje go skłonność do autorefleksji, to myślę, że spodoba mu się ten serial. Bez względu na to w jakim jest wieku. Bo to po prostu uniwersalna opowieść.

eprasa.pl dcbe6e08c7

MOIM ZDANIEM

ALICJA POLEWSKA
red. nacz. „Gazety Pomorskiej”



Ziemniaki, kartofle, pyry, grule

Albo ziemniorki. Nie wiem, dlaczego ani kiedy zaczęliśmy mówić tak w domu. Może córka na etapie przedszkolnym przekręciła? Bez znaczenia, ważne, że wszyscy wiemy, o co chodzi.

Jeśli nie byliście w gdyńskim Muzeum Emigracji przy ul. Polskiej, to pewnie nie kojarzycie, że właśnie tam znajduje się fragment wystawy poświęcony ziemniakom. A konkretnie ich znaczeniu w XIX wieku na ziemiach polskich (pod zaborami). To dzięki tym amerykańskim bulwom początkowo uprawianym jako roślina ozdobna, znacząco zmniejszył się głód na wsi. Bo pyra rośnie właściwie wszędzie, a teraz wydaje nam się najzwyczajniejszym elementem obiadu. Do czasu.

Otóż mamy właśnie niedobór kartoflany na rynku. W ubiegłym roku był problem ze sprzedażą jadalnych odmian, to rolnicy w tym roku wysadzili ich mniej. Do tego doszły słabe zbiory w zachodniej Polsce (susza i gorąco). W sklepach więc ceny w górę, ale nie na skupach. Co może być za rok, łatwo raczej wyliczyć.

E tam, machnie ręką jeden z drugim. Toć w marketach leży tego pełno i to najróżniejszych, a poza tym teraz to się jada bataty (słodkie ziemniaki), żeby pokazać, że na talerzu jest trendy i cool. A, no i do stołówek szkolnych lewicowcy wrzucili na siłę warzywa, a ziemniak warzywem jest, prawda? No jest, ale sam traktowany jest raczej jako baza niż podstawowe warzywo w diecie, więc argument taki sobie. Na wzrost upraw raczej nie wpłynie. A co do marketów, to kiedy poczytacie etykiety, może się okazać, że bulwy są z Niemiec, Egiptu czy Cypru. Dla pewności, że kupujemy nasze, trzeba wybrać się na osiedlowy bazarek albo targowisko gdzieś pod miastem.

Ziemniak ziemniakowi nierówny. A do tego jedni wolą te bardziej białe – to na Wschodzie, na Zachodzie – żółciutkie. I jeszcze inne do gotowania, inne na kluchy i placki, do pieczenia, sałatki... To ci klops!

A teraz zamknijcie oczy. Już? OK, zobaczcie talerz: ziemniaki z koperkiem, mizeria i mielony w złocistej panierce... Albo bez tego klopsa, ale za to z kubkiem maślanki... A pyra z gzikiem po poznańsku albo podlaska babka ziemniaczana... I placki, placki z kwaśną śmietaną (Kraków) albo cukrem (Bydgoszcz). Jeszcze szare kluchy ze skwarkami... Pyzy, cepeliny i kopytka.

Mam nadzieję, że czytacie to po obiedzie, bo za cieknącą ślinkę nie biorę odpowiedzialności.

Ale grule mają jedną wadę – trzeba je obrać (no dobra, młode w mundurkach to jest sztos), a to najnudniejsze - obok ścierania kurzu - zajęcie świata. Może więc nie obierać, wyjść gdzieś na pole, gdzie dopiero co kopane były bulwy i jeszcze leżą łęty, rozpalić ognisko (ale tak, żeby tylko żar był) i piec kartofle w gorącym popiele?

Dym się snuje nad kartofliskiem, siąpi deszczyk. Stop! Przecież ognisk nie wolno na polu palić. A dym śmierdzi i może być toksyczny. Cholera, a już było tak pięknie i miało być smacznie, jak w dzieciństwie, kiedy ziemniaki były po prostu ziemniakami, a na wykopki jechało się z całą szkołą właśnie po to, żeby rozpalić ogniska.

Zamówię frytki do obiadu. W końcu są z ziemniaków. Bo są, prawda?

MOIM ZDANIEM

ADAM BUŁA
Szef Newsroomu Centralnego



Kryptotwardziel coraz bliżej narożnika

Tak się zastanawiam, z kim zgodzi się w miarę normalny Kowalski, jadąc na święta do rodziny po zatankowaniu benzyny po jakieś 12 zł za litr. Z Tuskiem czy z Nawrockim? I tak mi się wydaje, że zadaję niewłaściwe pytanie.

Oczywiście, w samym tytule sugeruję już, że ja raczej za Nawrockim nie jestem, i to po całości. Moje poglądy nie mają jednak znaczenia, i ograniczam się tylko do drobnej złośliwości. W języku dzisiejszej polityki powinienem przecież zejść przynajmniej do poziomu: tchórzliwy pachołek Putina umoczony w kasę kryptoaferzystów. A ja, korzystając z modnego dziś określenia, sugeruję zaledwie, że pan prezydent może nie jest takim twardzielem, na jakiego chce wyglądać oraz że – i to już bardziej na pewno – zdecydowanie się w tym graniu macho zaczyna zaplątywać.

Znaczenie mają poglądy tego przeciętnego Kowalskiego, który nie należy jeszcze do żadnej z sekt, który potrafi czasem zmienić zdanie, a na pewno nie ma zdania wyzwalanego wyłącznie automatycznym systemem rozpoznania: swój – obcy. Wiecie: wszystko z identyfikacją „Tusk” jest złe i na odwrót i vice wersa. Taki Kowalski w szalejącej u nas, politycznej naparzance powoli zanika, ale to on wciąż decyduje na koniec dnia o tym, kto w Polsce rządzi.

Nie wydaje mi się, by ten Kowalski, zły po zatankowaniu auta, w wigilijnej trasie ważył racje stojące za kolejnym wetem pana Nawrockiego do ustawy o podatku od nadzwyczajnych zysków koncernów paliwowych. Żyjemy w świecie prostych recept i nikt nie ma już np. śmiałości zapytać ludzi prezydenta, co dokładnie znaczy, że taki podatek i tak zostałby przerzucony na nas, konsumentów. Bo na zdrowy rozum, skoro nowy program tańszego paliwa, finansowany z tego podatku, i tak zakłada codzienną cenę maksymalną paliwa, to wystarczy w tej cenie zatankować na np. BP, ale nie kupować tam hot doga – i już nikt niczego na nas nie „przerzuci”.

Wyznawca sekty Karola do tego miejsca nigdy nie dojdzie, zaparkowany przy podstawowym ustawieniu: zły Tusk. Nasz Kowalski też się na tym nie skupi. Ale może zauważy, że na ringu jest drugi zawodnik, który też jest chętny na totalne mordobicie. Bo to już nie czas, gdy pan Nawrocki – niemal ostentacyjnie – wetuje wszystko, co mogłoby być „sukcesem rządu Tuska”, a Tusk sobie z tym nie radzi, produkując wciąż te same ustawy.

To już finał rundy i wyraźna zmiana tonu: szef rządu otwarcie dziś mówi: „Nawrocki, przestań szkodzić Polakom”, a jego rzecznik zaczyna traktować broniących wet polityków prawicy jak złodziei i głupków.

I tu dochodzimy do powodu, dla którego pan prezydent przegrywa tę rozgrywkę. Kłopot bowiem w tym, że do każdego weta trzeba doszyć łatwy do sprzedania powód, a rzadko się w ustawowej materii zdarza tak prosta sytuacja, że można opowiadać o za dużym kojcu dla psa. Dlatego zwykle mamy do zapamiętania tylko mantrę: dla dobra Polski, dla dobra Polaków.

Tusk niby mówi to samo, tylko że rzeczywistość częściej jest po jego stronie. „Nie ma tańszej benzyny, bo Nawrocki zawetował”. Kropka, proste jak drut. „Broni nie interesów Polaków, tylko amerykańskich koncernów, dlatego nie ma ochrony dzieci w sieci”. Aha, coś tam o tym słyszałem. „Bo jego strona brała kasę od Zondacrypto” . No ten Wipler przytulił, to fakt...

Bo SAFE nie „poszło do Niemca”. I może dlatego na targach w Kielcach pan prezydent wykonał historyczny fikołek z poparciem dla inwestycji w polski przemysł, na co mu – spolegliwy przecież i grzeczny Kosiniak-Kamysz odwarknął: się odezwał ten, co próbował zablokować miliardy dla zbrojeniówki.

Prawica Kaczyńskiego od zawsze grała w grę: ani kroku wstecz, nawet gdybyśmy popełnili sakramencką głupotę, brniemy w obronę tego bez względu na koszty. Prezydent myślał, że też będzie w tym dobry. I był, dopóki Tusk nie wyszedł zza winkla i nie rzucił: ok, my też mamy bejsbola na tej ustawce i okładamy się po kibolsku, dopóki któryś nie padnie.

Usłużni dla prawicy publicyści, tzw. symetryści, bredzili ostatnio, że po ostatniej rozgrywce o regulację rynku kryptowalut – po odrzuceniu przez Sejm trzeciego weta prezydenta – rząd może sobie odpuści temat i weźmie na przeczekanie. Ale to już tylko marzenie słabnących chłopców od Karola. Rzeczywistość jest taka, że właśnie rząd zapowiedział czwartą ustawę o regulacji kryptowalut, jeszcze ostrzejszą dla oszustów.

I to ekipa Karola nie ustoi tej nawalanki. W tym sensie, że zbyt wielu Kowalskich zacznie zauważać, że sami zaczęli i dostają... Wiecie co, bo to już widać i czuć.

Radosław Sikorski: Na rosyjską eskalację, jaką był np. ostrzał pociągu na terenie Ukrainy przy polskiej granicy, Polska będzie miała nieprowokującą, ale poważną odpowiedź, która wzmocni bezpieczeństwo



FOT. ADAM JANKOWSKI

eprasa.pl dcbe6e08c7

WATYKAN



FOT. PAP/EPA

25 września Leon XIV pierwsze kroki skieruje do Pałacu Elizejskiego, gdzie zostanie przyjęty przez prezydenta Emmanuela Macrona

Paryż, Lourdes, Metz: Leon XIV jedzie do Francji

Watykan opublikował program czterodniowej wizyty papieża we Francji. Głowa Kościoła przybędzie do kraju nie tylko podzielonego politycznie, ale też religijnie i światopoglądowo

Mariusz Grabowski

Wizyta zacznie się 25 września w Paryżu, skończy 28 września w Metzu. Jej mottem są słowa Św. Jana Ewangelisty „Aby świat miał życie", a symbolem – okrągły witraż, wprost nawiązujący do rozet gotyckich katedr, w kolorach flag Francji i Watykanu.

Śladem Benedykta XVI

Gdy 18 lat temu, z okazji 150-lecia objawień w Lourdes, odbywała się pielgrzymka Benedykta XVI, Francja wydawała się krajem znacznie stabilniejszym politycznie. Media rozpisywały się wówczas o tym, że nad Sekwanę przybywa „papież frankofil".

Nie bez powodu: w 1992 r. papież został włączony do prestiżowego grona Akademii Nauk Moralnych i Politycznych, a w 1998 r. nadano mu tytuł Komandora Legii Honorowej. Przyjmując go przyszły papież wygłosił słynne przemówienie, w którym mówił, że od młodości „był zagorzałym wielbicielem łagodnej Francji" i wymieniał francuskich pisarzy, których lektura towarzyszyła mu od najmłodszych lat.

O Leonie XIV nie pisze się, że jest frankofilem, a od 2008 r. upłynęła cała epoka. Poza tym jest Amerykaninem, co we Francji rodzi głębokie kulturowe resentymenty. Stąd komentatorzy spekulują, co będzie miał do powiedzenia ludziom, prócz dodania otuchy francuskim katolikom. Co zobaczy, przejeżdżając papamobile bulwarem Montparnasse i bulwarem Saint-Michel?

„We Francji papież spotka Kościół, który doświadcza swego ubóstwa, ale też przeżywa wielki przypływ łaski, radość z przyjmowania nowo ochrzczonych" – twierdzi abp Éric de Moulins-Beaufort, do niedawna przewodniczący Episkopatu.

Dodaje, że podczas podróży apostolskich zarówno do Afryki, jak i Hiszpanii, Leon XIV wykazał się dużą trafnością w swoich przemówieniach, w tym, co miał do powiedzenia „różnym społecznościom".

Religijny renesans

Przyjrzyjmy się bliżej francuskiemu Kościołowi. 120 biskupów wchodzi w skład Konferencji Episkopatu, jest tam także blisko 12 tys. aktywnych duchownych diecezjalnych i zakonnych. Co roku święcenia przyjmuje od kilkudziesięciu do nieco ponad stu nowych kapłanów, np. 105 w 2024 r.

Przynależność do Kościoła katolickiego deklaruje we Francji ok. 40 proc. obywateli, ale już do praktykowania wiary jedynie 12 proc. Niecałe 6 proc. chodzi na mszę św. regularnie, co najmniej raz w miesiącu. Jednak od kilku lat obserwuje się znamiona renesansu religijnego. W 2019 r., a więc jeszcze przed kryzysem COVID-19, udzielono ponad 4 tys. chrztów dorosłych, podczas gdy w roku 2025 do chrztu przystąpiło ponad 10 tys. dorosłych, dokładnie 10 tys. 384 osoby. Do tego grona należy jeszcze doliczyć ponad 7 tys. nastolatków w wieku od 11 do 17 lat, którzy również zostali ochrzczeni na Wielkanoc 2025 r.

Co ciekawe, wielu socjologów religii zauważa, że wiara przestaje być rodzinnym dziedzictwem przekazywanym z pokolenia na pokolenie, a staje się indywidualną i przemyślaną decyzją konwertytów. Doroczna piesza pielgrzymka tradycjonalistów między Paryżem i Chartres cieszy się coraz większą popularnością. W maju tego roku poszło w niej ponad 20 tys. pątników, głównie młodych.

Pieniądze i etyka

Ustawa z dnia 9 grudnia 1905 r. o tzw. rozdziale Kościołów od państwa wprowadziła rygorystyczny zakaz finansowania z publicznych pieniędzy wszelkich wydatków na „usługi religijne". Ale ów zakaz podlega szeregowi wyjątków. Np. świątynie wybudowane przed tym rokiem, czyli de facto większość historycznych kościołów, należą do państwa lub samorządów. Władze lokalne ponoszą koszty ich utrzymania, remontów oraz konserwacji jako zabytków.

Na linii państwo francuskie-Kościół trwa permanentny spór w kwestiach etycznych. Aborcja jest nad Sekwaną legalna od 1974 r., od momentu uchwalenia tzw. ustawy Simone Veil. W marcu 2024 r. Francja stała się pierwszym krajem na świecie, który wpisał „wolność do aborcji" bezpośrednio do swojej konstytucji. I ich liczba rośnie. W 2022 r. odnotowano przykładowo wzrost o 7 proc. w porównaniu z rokiem poprzednim, czyli o 17 tys. więcej.

Z kolei wspomagane samobójstwo i eutanazja są legalne od 19 sierpnia 2026 r. po ostatecznym przyjęciu ustawy o „pomocy w umieraniu" przez Zgromadzenie Narodowe.

Co z imigrantami?

Wróćmy do słów abpa de Moulins-Beauforta o „różnych społecznościach", bowiem odnoszą się do jednego z najważniejszych problemów, z którym boryka się dzisiejsza Francja – imigracji. Oblicza się, że imigrantów (zarówno tych z paszportami, jak i bez) dziś we Francji jest ok. 6,5 mln, czyli blisko 10 proc. społeczeństwa. Zdecydowana większość z nich to muzułmanie pochodzący z Afryki, głównie z Algierii i Maroka.

Episkopat francuski zachowuje wobec problemu napływu imigrantów postawę empatii. „Angażujemy się konsekwentnie w sprawę rozwiązania palącej kwestii migrantów i uchodźców i jesteśmy gotowi do dialogu z rządem w tej sprawie" – mówił już w grudniu 2021 r. abp de Moulins-Beaufort, odpowiadając na ówczesny apel papieża Franciszka o przyjmowanie migrantów.

Optymistycznej wizji hierarchów nie podziela wiodąca dziś francuska siła polityczna – Zjednoczenie Narodowe, na której czele stoją Marine Le Pen (35 proc. poparcia w sondażach przed wyborami prezydenckimi) oraz Jordan Bardella. Ugrupowanie głosi konieczność radykalnego ograniczenia napływu cudzoziemców oraz wprowadzenia zasady „prymatu obywateli Francji nad obcokrajowcami".

Cień polityki

Z programu wizyty Leona XIV wynika, że pierwszym punktem będzie Paryż. Tam 25 września o godz. 10 pierwsze kroki skieruje do Pałacu Elizejskiego, gdzie zostanie przyjęty przez prezydenta Emmanuela Macrona.

Rządzący Francją Macron to postać skrajnie niepopularna wśród rodaków. Na niecały rok przed wyborami prezydenckimi w 2027 r. tylko 20 proc. Francuzów deklaruje zadowolenie z jego polityki. Rosną ceny żywności, energii i paliwa (obecnie blisko 2,5 euro za litr). Na głowę Francuza przypada prawie 50 tys. euro długu publicznego, co daje łącznie ok. 3300 mld euro i ok. 114 proc. PKB. Coraz głośniej mówi się o powrocie na polityczną scenę antyestablishmentowego i antyliberalnego ruchu „żółtych kamizelek". Jego kolejną ogólnokrajową demonstrację zapowiedziano na 17 października.

Dla elit rządzących Francją wizyta papieża może być zatem chwilą oddechu przed gorącą polityczną jesienią, kiedy będzie uchwalany m.in. przyszłoroczny budżet.

eprasa.pl dcbe6e08c7

KRYMINAŁ

Wojciech Chmielarz: Dorośli też potrzebują bajki, w której zły wilk zostaje ukarany

Każdy człowiek ma granicę, za którą jest w stanie skrzywdzić drugą osobę, a nawet ją zabić. Jestem przekonany, że istnieją okoliczności, w których sam mógłbym odebrać komuś życie. Znam się jednak na tyle dobrze, by sądzić, że nigdy nie planowałbym tego z zimną krwią – mówi Wojciech Chmielarz, autor kryminałów

Anita Czupryn

Co musiałoby się wydarzyć, żeby zrobił Pan coś złego i mógł sobie powiedzieć: „Nie miałem innego wyjścia”?

Jednym z moich wielkich osobistych odkryć, a zarazem fundamentem mojego pisarstwa kryminalnego, jest przekonanie, że nikt nie uważa się za złego człowieka.

No, to już zdradzę, że to właśnie pokazuje Pan w swojej najnowszej książce, „Wyższa konieczność”.

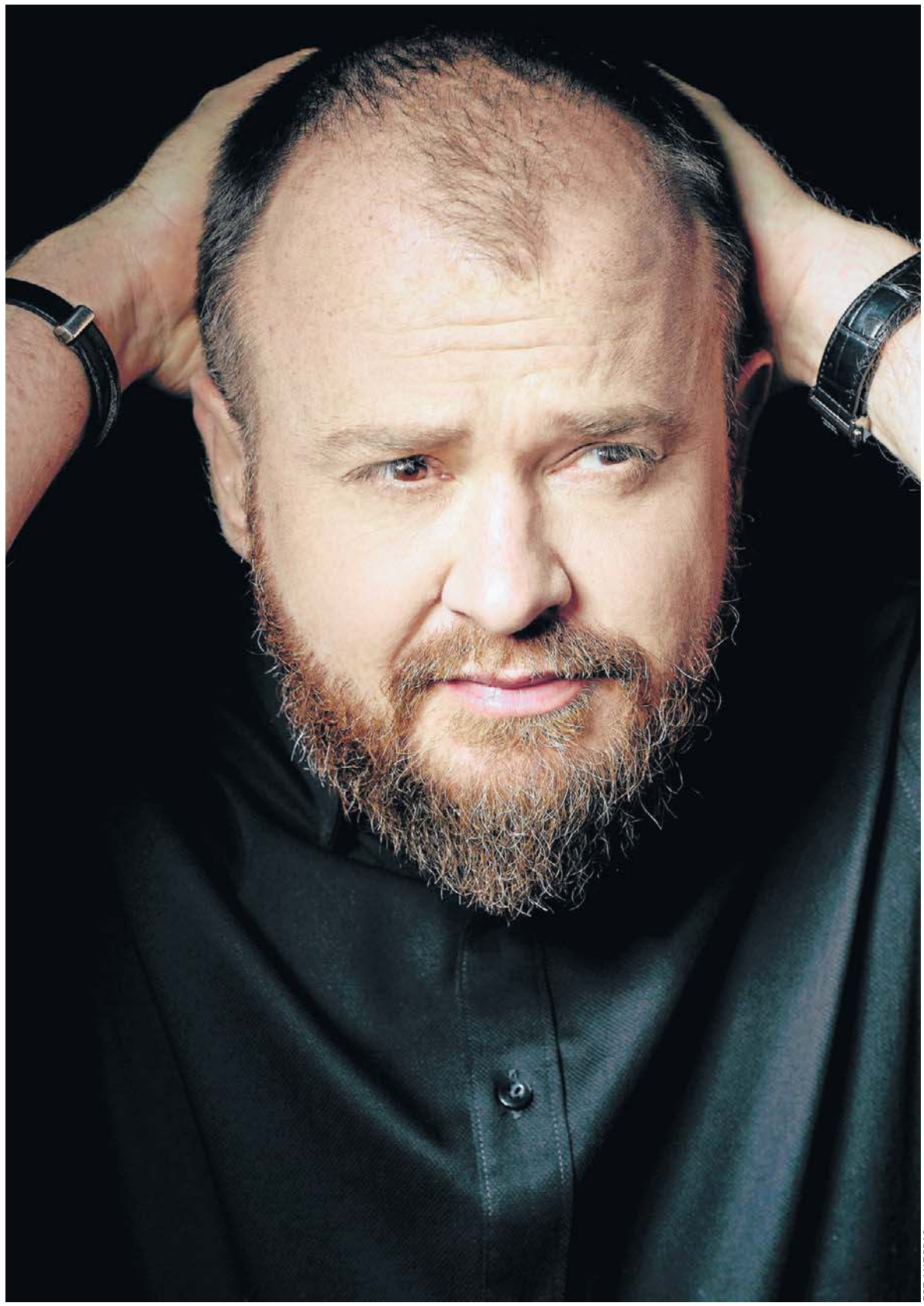
Nawet ludzie, którzy robią ewidentnie złe rzeczy, uważają się za dobrych. Mamy niewiarygodną zdolność racjonalizowania własnych czynów. Mało kto potrafi spojrzeć na siebie krytycznie, z boku, i uczciwie powiedzieć: „Zawaliłem. Zrobiłem coś złego, powinienem to naprawić”. I ma pani rację: „Wyższa konieczność” trochę o tym jest. Bohaterowie robią złe rzeczy, ale proszę zwrócić uwagę, jak pięknie uzasadniają, dlaczego ich postępowanie jest dobre.

Pan także łatwo znajduje dla siebie usprawiedliwienia?

To pytanie należałoby zadać mojej żonie albo ludziom, którzy dobrze mnie znają. Co mogę powiedzieć, oceniając samego siebie? Oczywiście odpowiem, że nie: jestem wobec siebie krytyczny, wiem, kiedy popełniam błąd, potrafię się do niego przyznać i nie mam problemu z jego naprawieniem. Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że tak właśnie jest. Być może jednak od kogoś, kto dobrze mnie zna, usłyszałaby pani zupełnie inną historię.

Czy po tylu latach pisania kryminałów doszedł Pan do wniosku, że każdy człowiek ma granicę, po której przekroczeniu byłby zdolny zabić?

Nie potrzebowałem do tego pisania kryminałów. Każdy człowiek ma granicę, za którą jest w stanie skrzywdzić drugą osobę, a nawet ją zabić. Pamiętajmy jednak, że nie wszystkie zabójstwa są sobie równe. Czym innym jest sytuacja, w której bita żona albo krzywdzone dziecko w desperacji sięga po nóż i zabija brutalnego męża, ojczyma czy ojca, a czym innym metodyczne przygotowywanie zbrodni tylko po to, żeby sprawdzić, jak to jest zabić człowieka. Skutek jest pozornie ten sam, ale moralnie oceniamy te czyny zupełnie inaczej. Jestem przekonany, że istnieją okoliczności, w których sam mógłbym odebrać komuś życie. Znam się jednak na tyle dobrze, by sądzić, że nigdy nie planowałbym tego z zimną krwią.



FOT. MAT. PRAS.

Wojciech Chmielarz: Mamy niewiarygodną zdolność racjonalizowania własnych czynów

Spotkał pan kogoś, kto jest przekonany, że czyni dobro, choć krzywdzi wszystkich dookoła?

Takie rzeczy widziałem w swoim otoczeniu, choć nie będę mówił, o kogo chodzi. Myślę, że kiedy przyjrzymy się relacjom wśród znajomych, dostrzeżemy osoby, które nie postępują właściwie, ale nie uważają, że robią coś złego. Widzimy je także w życiu publicznym: z uśmiechem opowiadają, jak wiele dobrego dla nas robią, podczas gdy my widzimy skutki ich złych decyzji.

Cyprian Trzaska, czarny charakter pańskiej powieści, mówi o Polsce kilka rzeczy, z którymi trudno się nie zgodzić: nie wierzymy we własne możliwości, nie umiemy wykorzystać talentu młodych ludzi, kupujemy cudze technologie zamiast rozwijać własne. Chciał pan, żeby czytelnik w pewnym momencie pomyślał: „Cholera jasna, ten drań ma jednak rację”?

Trochę tak. Rozbawił mnie pomysł stworzenia czarnego charakteru, którego słowa po namyśle uznamy za słuszne. Chciałem zobaczyć, jak czytelniczki i czytelnicy poradzą sobie z tym dysonansem. Cyprian Trzaska porusza ważne, być może nawet kluczowe współczesne problemy. Nie sięgajmy po przykłady z książki, bo są wyolbrzymione. To powieść sensacyjna i kusiło mnie, żeby tym razem poprowa-

eprasa.pl dcbe6e08c7

dzić akcję jak w filmach o Jamesie Bondzie: stworzyć naprawdę wielką historię i wielki czarny charakter, który ma szeroko zakrojone plany. Spójrzmy jednak na rzeczywistość. Jak to możliwe, że Meta może w Polsce zarabiać grube pieniądze na fałszywych reklamach wykorzystujących Rafała Brzoskę, a on sam nie może nic z tym zrobić? Co wobec tego ma powiedzieć pani, ja czy zwykły człowiek na ulicy? To jest totalne kuriozum.

Nie chcę przed czytelnikami zdradzać zbyt wiele, ale zapytam, jak często za wielkimi słowami o ojczyźnie, honorze, Bogu i wartościach kryją się czyjaś rana, upokorzenie albo żądza odwetu?

Wchodzimy tutaj w interpretację postaci i całej powieści. Kiedy książka została napisana, moje zdanie przestało być ważniejsze od opinii pani czy innego czytelnika. Z tym zastrzeżeniem: uważam, że w przypadku mojego bohatera chodzi oczywiście o osobistą wendetę, ale on równocześnie naprawdę wierzy w to, co mówi, i naprawdę chce zrealizować swój plan. Jedno nie wyklucza drugiego. Można mieć osobiste interesy i urazy, które jednocześnie wpisują się w szerszy obraz i większą sprawę. Czy ta sprawa jest dobra, czy zła, to już inne pytanie. Mój bohater wierzy w to, co mówi przez całą książkę. Naprawdę chce osiągnąć swój cel.

Istnieje taka wyższa konieczność, która moralnie usprawiedliwia skrzywdzenie niewinnego człowieka? Czy można uznać jego krzywdę za dopuszczalny koszt wielkiej sprawy?

Wydaje mi się, że nie. To oczywiście przypomina słynny dylemat wagonika Philippy Foot: czy wolno poświęcić jednego człowieka, żeby uratować wielu? Ludzie rozstrzygają go na różne sposoby i nie ma jednej odpowiedzi. Problem polega na tym, że każdy z nas inaczej definiuje wyższą konieczność. Jeżeli raz zrobimy wyłom i uznamy, że wolno poświęcić człowieka dla wyższej sprawy, dlaczego nie mielibyśmy poświęcić dziesięciu, stu albo tysiąca osób? Moim zdaniem nie istnieje takie usprawiedliwienie. Poświęcając tę jedną osobę, tracimy coś jeszcze ważniejszego: zasady i pewną niewinność. Tego nie da się już odbudować.

Poruszył mnie pokazany przez pana obraz starości jako złodzieja, który stopniowo odbiera człowiekowi siłę, sprawność i niezależność, a pozostawia mu świadomość tego, kim kiedyś był. Pan boi się starości?

Mam 42 lata, więc być może myślę o tym jeszcze zbyt lekko, ale starości się nie boję. Może wynika to z ignorancji. Jednak już o niej myślę i robię wiele rzeczy związanych przede wszystkim ze sprawnością fizyczną. Właśnie wróciłem z biegania. Nie biegam wyłącznie z tego powodu, co daje mi to dzisiaj. Traktuję bieganie również jako inwestycję w to, żebym za 30 lat mógł samodzielnie pójść na spacer czy do sklepu i nie miał problemu z wejściem po schodach. Myślę więc o starości. Olbrych, którego ma pani na myśli, jest pokazany w książce w określony sposób, ale jego sytuacja nie jest zła. To mężczyzna po osiemdziesiątce, jeśli dobrze pamiętam, sprawny fizycznie i umysłowo, mający powodzenie u kobiet, o czym dowiadujemy się z jednego z opisów.

A jednak ludzie patrzą na niego i widzą słabość.

I jak na tym wychodzą?

Właśnie. Można się pomylić. Skupię się zatem na kolejnym bohaterze: Bezimienny omal nie zabił kiedyś przyjaciela, a na pewno doprowadził do jego niepełnosprawności. Czy nie miał Pan takiego momentu, żeby pomyśleć o nim: „Człowieku, posunąłeś się za daleko. Nie mam już argumentów, żeby cię bronić”?

Nie, nigdy tak nie pomyślałem. Jednym z fundamentów tej postaci jest dla mnie jej moralna czystość. Oczywiście nie wszystko wychodzi idealnie. Miałbym do Bezimiennego zastrzeżenia, szczególnie w sprawie relacji z byłą żoną i córką, ale nie w tej kwestii. Wydaje mi się zresztą, że w książce Max mówi mu: „Gdyby nie ja, to ty...”. Bezimienny wywodzi się bezpośrednio z toposu błędnego rycerza, rycerza bez skazy, który przyjeżdża, zabija smoka, ratuje po drodze księżniczkę i odjeżdża. Tak go widzę i tak starałem się go pisać. Bohaterowie moich innych książek są często ambiwalentni. Wystarczy wspomnieć Szweda z „Tam, gdzie zmrok zapada szybciej”, którego przez niemal dwieście pierwszych stron właściwie nie da się polubić, bo robi paskudne rzeczy. Nawet komisarz Mortka ma swoje za uszami. Dla literackiej higieny potrzebowałem postaci, o której będę wiedział, że postępuje słusznie i robi dobre rzeczy. Tak próbowałem napisać Bezimiennego. Czy mi się udało, to już inna sprawa.

Sztuczna inteligencja ma wiele zastosowań i jestem wobec niej krytyczny. Jej zastosowania militarne budzą ogromne kontrowersje

WOJCIECH CHMIELARZ
autor kryminałów

Kibicujemy Bezimiennemu, bo wierzymy w możliwość odkupienia, czy dlatego, że wybaczamy mu przemoc stosowaną w słusznej sprawie?

Za każdym razem, kiedy stosuje on przemoc, jest ona bardzo mocno uzasadniona. Ambiwalentne jest co prawda samo to, że Bezimienny działa poza prawem i systemem sprawiedliwości oraz sam podejmuje pewne decyzje. Taka jest jednak konwencja, od której nie uciekniemy: fantazja o superbohaterze, który zawsze postępuje słusznie. Pilnuję przy tym, zresztą widać to w każdej książce, że on nie lubi przemocy i nie chce jej stosować. To jeden z fundamentów tej postaci. Kiedy tylko może jej uniknąć, robi to. Kiedy jednak uznaje, że nie ma innego wyjścia, to się nie waha. Jest dobry w tym, co robi, i bywa bezwzględny. Jest to racjonalna bezwzględność wynikająca z założenia, że skoro nie z własnej winy znalazł się w sytuacji zagrożenia i musi użyć przemocy, powinien doprowadzić sprawę do końca. Każde zawahanie oznacza ryzyko dla jego zdrowia i życia albo dla ludzi, których chroni.

W pańskich książkach instytucje często zawodzą, a sprawiedliwość wymierza ktoś, kto nie ma do tego prawa. Wierzy pan, że państwo potrafi ochronić człowieka?

Chciałbym w to wierzyć i żyć w państwie, które potrafi chronić ludzi, w którym możemy żyć i czuć się bezpiecznie. Myślę, że w większości przypadków państwo sobie z tym radzi; widzimy to każdego dnia. Wszyscy znamy jednak także sytuacje, w których zawiodło w sposób trudny do pojęcia. Przychodzi mi do głowy sprawa tragicznego wypadku w Łomiankach sprzed kilku miesięcy. Pijany kierowca doprowadził do śmierci młodych ludzi, choć miał już kilka zakazów prowadzenia pojazdów. Rozumiem, że ktoś może dostać taki zakaz raz. Dlaczego jednak po kolejnym złamaniu zakazu nie trafia do więzienia? Bodajże Łukasz Zboralski pokazywał w swoim materiale, jak cały aparat państwa lekceważył tę sprawę, a kierowca ignorował kolejne decyzje. Ludzie zginęli, choć można było temu zapobiec. Myślę, że każdy z nas pamięta sprawę, która go podobnie oburzyła, bo było widać, że państwo mogło uratować czyjeś życie, ale zawiodło.

W „Wyższej konieczności” narzędziem zbrodni może stać się także sztuczna inteligencja.

Niedawno szczególnie zszokowała mnie informacja z frontu w Ukrainie o dronie wykorzystującym sztuczną inteligencję do autonomicznego prowadzenia ataku. Sztuczna inteligencja ma wiele zastosowań i jestem wobec tej technologii bardzo krytyczny na różnych polach. Jej zastosowania militarne budzą ogromne kontrowersje. Logika historii podpowiada jednak, że jeśli chcemy czuć się bezpiecznie, sami również będziemy musieli rozwijać ją na potrzeby wojska. Nie może być tak, że przeciwnik albo potencjalny przeciwnik dysponuje lepszą technologią niż my.

Można mieć osobiste interesy i urazy, które wpisują się w szerszy obraz i większą sprawę. Czy ta sprawa jest dobra, czy zła, to już inne pytanie.

WOJCIECH CHMIELARZ
autor kryminałów

Kto jest mordercą, kiedy maszyna zabija człowieka? Programista, dowódca, polityk, producent? Czy odpowiedzialność rozkłada się tak bardzo, że w praktyce nie ponosi jej nikt?

To bardzo dobre pytanie i obawiam się, że nie potrafię na nie odpowiedzieć. Rozróżniłbym przede wszystkim dwie sytuacje. Jeśli mówimy o konflikcie zbrojnym i o tym, że strona ukraińska zabija rosyjskiego żołnierza, odpowiadam: nie obchodzi mnie, kto nacisnął przycisk. Nie trzeba było rozpoczynać tej wojny, wtedy nie ginęlibyście na terytorium Ukrainy. To osobna kwestia. Inaczej wygląda odpowiedzialność w życiu cywilnym. Co się stanie, jeśli samochód kierowany przez sztuczną inteligencję wjedzie w grupę ludzi? Kto za to odpowie? Będziemy musieli się zastanowić, kto ponosi odpowiedzialność, gdy robot, najprawdopodobniej przez przypadek, zabije człowieka.

To pytanie rodzi się również po przeczytaniu pańskiej książki. Twórca opracowuje technologię dla gier komputerowych, a ktoś inny przekształca ją w broń. Wynalazca odpowiada za sposób wykorzystania swojego dzieła?

Nasz krąg cywilizacyjny zastanawia się nad tym od co najmniej stu lat, a na pewno od osiemdziesięciu. To dylemat Oppenheimera związany z projektem Manhattan i tym, co nastąpiło później. Do dziś nie znaleźliśmy dobrej odpowiedzi. Nie będę udawał, że ją znam. Szczerze mówiąc, nie uważam się za szczególnie mądrego człowieka. Wydaje mi się natomiast, że potrafię zadawać w książkach dobre pytania. To jest jedno z nich. Gdybym znał odpowiedź, zamieściłbym ją w powieści.

Nie obacccccwia się pan, że pomysły wymyślone przez pisarza na potrzeby sensacyjnej fabuły ktoś potraktuje jak instrukcję?

Myślałem o tym wielokrotnie. W „Wyższej konieczności” nie opisałem jednak niczego nowego. Zastosowanie sztucznej inteligencji w technologii dronowej już staje się rzeczywistością, niezależnie od tego, czy napiszę o nim książkę. W innych powieściach świadomie pomijam albo fałszuję pewne informacje. Wiem na przykład, jak dość szybko pozbawić człowieka przytomności, ale nie opisuję tego krok po kroku. Czasem każę negatywnym bohaterom używać środków, o których wiem, że w rzeczywistości nie zadziałają, a przynajmniej nie tak, jak opisałem to w książce.

Kryminały od lat należą w Polsce do najchętniej czytanych książek. Dlaczego człowiek, któremu na co dzień wystarcza wiadomości o przemocy, wojnach i nieszczęściach, wieczorem sięga po powieść o morderstwie?

Tutaj się z panią nie zgodzę. Nie jest tak, że na co dzień żyjemy pośród przemocy i wojny. Oczywiście wydarzenia za naszą wschodnią granicą budzą niepokój, ale Polska pozostaje jednym z najbezpieczniejszych krajów Europy, a więc także świata. Proszę zwrócić uwagę, że kryminał najlepiej rozwija się i największą popularnością cieszy się w krajach, które są generalnie najbezpieczniejsze.

Stąd popularność kryminałów skandynawskich?

Właśnie. Zawsze powtarzam, że właściwie nie istnieje coś takiego jak meksykański kryminał, bo Meksyk jest z różnych powodów krajem bardzo niebezpiecznym. Polski kryminał także niemal nie istniał w latach dziewięćdziesiątych i na początku XXI wieku. Pamiętamy przecież, że regularnie dochodziło wtedy nawet do strzelanin na ulicach. Kiedy Polska stała się stosunkowo bezpiecznym krajem, kryminał rozkwitł. Mamy potrzebę obcowania z przemocą i zbrodnią; być może jej źródeł powinien poszukać biolog ewolucyjny. Chcemy ją jednak zaspokajać w bezpieczny, a nawet przyjemny sposób: czytając książkę albo oglądając film. Moim zdaniem istnieje nie tylko korelacja, ale wręcz zależność: im bezpieczniejszy kraj, tym chętniej ludzie sięgają po kryminały.

Kryminał daje nam poczucie bezpieczeństwa: świat rozbity przez zbrodnię odzyskuje na końcu porządek, bo poznajemy prawdę.

Absolutnie się zgadzam. To kolejny fundament mojego pisarstwa: kryminał wcale nie jest opowieścią o zbrodni. Jest opowieścią o sprawiedliwości.

eprasa.pl dcbe6e08c7

KRYMINAŁ

Czyli sprawiedliwość jest warunkiem dobrego kryminału?

W dziewięćdziesięciu albo dziewięćdziesięciu pięciu procentach kryminałów winny zostaje na końcu ukarany. Trochę żartuję, że kryminał jest współczesną bajką dla dorosłych. Pojawia się zły wilk w postaci seryjnego zabójcy, czy kogoś innego, ale na końcu przychodzi myśliwy, zabija wilka, rozcina mu brzuch i wyciąga z niego Czerwonego Kapturka. Taka jest fabuła kryminału. Jako dorośli także potrzebujemy bajki o tym, że gdzieś w Polsce żyje Bezimienny, komisarz Mortka czy inny bohater, który rozprawi się ze złym wilkiem, kiedy ten nadejdzie.

Polski kryminał dorobił się zestawu dość powtarzalnych rekwizytów: zmęczony policjant, alkohol, rozbite małżeństwo, prowincjonalne miasteczko, zamordowana kobieta i tajemnica sprzed lat. Czy ten gatunek nie ugrzązł w schematach?

Z jednej strony ma pani rację, ale wszystkie wymienione elementy nie są wyłącznie polskie. Tak wygląda kryminał europejski: małe miasteczko, tajemnica z przeszłości, zamordowana kobieta, policjant z problemami osobistymi. Nie ukrywam tego, że jest to gatunek bardzo schematyczny, z silną konwencją, a paradoksalnie właśnie schematyczność stanowi siłę kryminału. Kiedy sięgamy po taką książkę, mniej więcej wiemy, co się wydarzy. Znamy ten świat i jego reguły, więc czujemy się bezpiecznie. Nie znaczy to jednak, że nie pojawiają się w tym gatunku rzeczy nowe, ciekawe i oryginalne. Kiedy patrzę na swoją półkę z kryminałami, od razu przychodzi mi do głowy Maciej Siembieda, który robi coś świeżego.

Zdarza się panu pomyśleć o książce polskiego autora: „Świetny pomysł, szkoda, że sam na niego nie wpadłem”?

Nie, choć pozwoli pani, że dokończę poprzednią myśl. Nowe rzeczy tworzą zarówno Maciej Siembieda, jak i Jakub Ćwiek. Anna Kańtoch pisze powieści wyjątkowe nawet na tle światowego kryminału. Jej trylogia o Krystynie Lesińskiej, „Wiosna zaginionych”, „Lato utraconych” i „Jesień zapomnianych” jest fantastyczna. W tym gatunku zdecydowanie jest miejsce na oryginalność. Odpowiadając zaś na pani pytanie: potrafię podziwiać innych autorów i zazdrościć im dobrej książki albo sukcesu komercyjnego czy artystycznego. Mogę pomyśleć, że sam chciałbym kiedyś napisać równie dobrą powieść. Zdaję sobie jednak sprawę, że nie umiałbym napisać większości książek, które zrobiły na mnie tak duże wrażenie. To nie mój styl ani tematyka; nie wydobyłbym z tych historii tego, co znaleźli w nich ich autorzy. Od dawna nie pomyślałem więc: „Cholera, szkoda, że to nie ja napisałem”, bo wiem, że nigdy nie stworzyłbym czegoś takiego.



FOT. MAT. PRAS.

Wojciech Chmielarz: Czuję przede wszystkim presję, żeby nie zawieść czytelników i żeby każda książka była bardzo dobra

Pan również odniósł sukces. Co sukces robi z autorem?

Z jednej strony daje mi poczucie bezpieczeństwa i satysfakcję, że udało mi się zrobić coś ciekawego. Mam wiernych czytelników, a świadomość, że mogę dobrze żyć z pisania, jest cholernie przyjemna. Z drugiej strony sukces budzi niepokój: jak długo to jeszcze potrwa? Nie będzie trwał wiecznie. Nie oszukuję się, że do osiemdziesiątki będę wydawał dwie książki rocznie i każda będzie się równie dobrze sprzedawała. Kiedyś to się skończy. Czuję więc presję, żeby moje pięć minut trwało jak najdłużej.

Towarzyszy Panu lęk, że pewnego dnia usiądzie pan przed komputerem i odkryje, że nie ma już nic ciekawego do powiedzenia?

Oczywiście. Boję się, że nie będę miał już nic ciekawego do powiedzenia i odbije się to na sprzedaży książek.

Wojciech Chmielarz jest już marką. Czy to znaczy, że każda kolejna książka musi być odpowiednim produktem tej marki: mrocznym, dynamicznym, rozpoznawalnym? Czuje pan taką presję?

Czuję przede wszystkim presję, żeby nie zawieść czytelników i żeby każda książka była bardzo dobra. Zawsze powtarzam, że piszę najlepsze książki, jakie potrafię. To jednak nie znaczy, że każda będzie dobra. Być może w danym momencie po prostu nie potrafiłbym napisać lepszej. Udało mi się zbudować relację z czytelniczkami i czytelnikami, i pokazać, co potrafię. Chciałbym, żeby trwało to jak najdłużej i żebym nadal umiał pisać książki równie dobre jak dotychczas.

„Wyższą konieczność” konsultował pan między innymi z medalistą paralimpijskim, instruktorem aktywnej rehabilitacji, specjalistą krav magi i przewodniczką po Łodzi. Ekspert stoi na straży prawdy czy jednym zdaniem potrafi przewrócić całą fabułę?

Nie chodzi o to, że ekspert stoi na straży prawdy, bo przecież piszę fikcję. Jeżeli jednak w książce pojawia się temat, na którym się nie znam, jak życie osób z niepełnosprawnościami w tej powieści, to muszę zdobyć o nim wiedzę, żeby stworzyć wiarygodny obraz. Nie mówię „realistyczny”, tylko „wiarygodny”. Czytelnik trzymający książkę musi uwierzyć, że to, co opisuję, jest prawdziwe. Nie zbuduję tej iluzji, jeśli nie mam pojęcia, o czym piszę. Dlatego pracowałem z Rafałem, który opowiadał mi, jak wygląda życie osoby poruszającej się na wózku. Pytałem o kwestie bardzo praktyczne: korzystanie z toalety, prowadzenie samochodu czy wsiadanie do niego. Potrafiłem sobie wyobrazić, jak taka osoba prowadzi auto, ale nie wiedziałem, jak do niego wsiada. Musiałem to zobaczyć na własne oczy, bo nie mam w najbliższym otoczeniu osób poruszających się na wózku. Wiedziałem też, że duża część akcji będzie się rozgrywać w Łodzi, której nie znałem tak dobrze, jak potrzebowałem. Pomogła mi Joanna Ufnalska, łódzka przewodniczka i pisarka, autorka „Psów gończych”.

Skoro mówimy o prawdzie, to coraz większą popularnością cieszy się true crime. Dlaczego prawdziwa śmierć stała się rozrywką, której słuchamy podczas sprzątania, gotowania czy jazdy samochodem?

To fenomen, który osobiście trudno mi zrozumieć. Być może działa tu mechanizm podobny jak w przypadku kryminałów: potrzebujemy kontaktu z niebezpieczeństwem i dreszczyku emocji, ale chcemy ich doświadczać w bezpiecznych warunkach. Nie jestem jednak pewien, czy to wyjaśnienie jest słuszne.

Zdarzyło się Panu zrezygnować ze sceny, bo i literacko, i po ludzku czuł pan, że posuwa się za daleko?

Rezygnowałem ze scen, które uważałem za zbyt brutalne. Ważne było jednak to, że ich brutalność niczego nie wnosiła do fabuły, a same sceny nie były wybitne literacko. Jeśli scena jest okrutna, ale nie służy historii, nie muszę jej pisać.

Na autorów kryminałów patrzy się czasem podejrzliwie. Opisują wymyślone zbrodnie, ale robią to wiarygodnie. Wchodzą do głowy mordercy. Zdarzyło się Panu przestraszyć własnego pomysłu i pomyśleć: „Skąd ja to mam?”

Potrafię napisać książkę, ale nie potrafię wcześniej ułożyć jej planu. Kiedy pracowałem nad jedną z powieści, każdego dnia siadałem do komputera, nie wiedząc, co się wydarzy. Potem czytałem to, co napisałem, i naprawdę zadawałem sobie pytanie: „Skąd to się, kur..., wzięło?”.

Po tylu latach pisania o złu, dowiedział się pan o sobie czegoś, czego wolałby nie wiedzieć albo nie upubliczniać?

Niestety panią rozczaruję. Nie dowiedziałem się o sobie niczego poza tym, że jestem całkiem niezłym pisarzem. Być może bierze się to stąd, że pisarze, a przynajmniej ja, bywają mało refleksyjni. Piszemy historie, ale niekoniecznie wiemy, co napisaliśmy i o czym one naprawdę są. To wielki paradoks. Zabrzmi jak truizm, ale autorzy są najgorszymi rozmówcami, jeśli chce się ustalić znaczenie ich książek. Najczęściej nie mają o tym zielonego pojęcia, choć upierają się przy swoich interpretacjach. Nie dotyczy to tylko mnie. Wielkim zaskoczeniem było dla mnie odkrycie, że Stanisław Lem nie rozumiał, o czym jest „Solaris”, interpretował go inaczej niż wielu jego czytelników. Można o tym przeczytać we wspomnieniach o nim.

Czy pisanie kryminałów uczyniło Pana bardziej podejrzliwym wobec ludzi, czy bardziej wyrozumiałym, bo za najgorszym nawet czynem potrafi Pan dostrzec czyjąś historię i usprawiedliwienie?

I tak, i nie. Kiedy opisuję straszne rzeczy i strasznych ludzi, wyrzucam z siebie złe emocje. Zostają w komputerze albo na kartce i nie ma już we mnie podejrzliwości, która mogłaby mi towarzyszyć. Z drugiej strony zdarza się, że z kimś rozmawiam albo obserwuję jakąś sytuację i spontanicznie układam w głowie cały scenariusz tego, do czego może ona doprowadzić. Wiem, że sobie przeczę, ale ludzie bywają pełni sprzeczności.

Tak jak wtedy, gdy robimy rzeczy złe, a jednocześnie jesteśmy zdolni do dobrych?

Właśnie. Człowieka niezwykle trudno jednoznacznie ocenić.

Książka

Wojciech Chmielarz
„Wyższa konieczność
Wydawnictwo: Marginesy
Cykl: Bezimienny (tom 5)
Warszawa 2026



eprasa.pl dcbe6e08c7

BIZNES

Koniec ekologicznego budowlanego biznesu w Ostaszewie. Dlaczego nie udało się zawojować świata?

Zakład MOD21 w Ostaszewie pod Toruniem otwarto pod koniec 2022 r. Już w sierpniu 2026 r. ogłoszono likwidację tego nowoczesnego, budowlanego biznesu. Co poszło nie tak?

Małgorzata Oberlan

MOD21 miał być ultranowoczesną fabryką, stawiającą na przyszłościowy i ekologiczny kierunek biznesu: produkcję drewnianych modułów do budownictwa. Takich, z których szybko i czysto stawiać można żłobki, hotele, dworce, mieszkania socjalne i nie tylko.

Zakład zbudowano w zaledwie 12 miesięcy w Ostaszewie (gmina Łysomice pod Toruniem). Był kolejną już częścią wielkiego imperium - grupy budowlanej Erbud z Torunia. To spółka giełdowa, zatem dochowując procedur i terminów musiała ona w sierpniu opublikować komunikat, w którym zapowiedziała likwidację MOD21.

- Się szykowało. Było do przewidzenia. „Góra" oczywiście wiedziała szybciej, ale nic nie powiedziała - tak komentuje dziś sytuację część pracowników. Wielu jest rozżalonych, choć niektórzy już w maju i czerwcu br. sygnalizowali, że „coś się dzieje". Zostały po ich domysłach wpisy na Goworku.

Innowacja i ekscytacja

„Jesteśmy start-upem, który zawojuje świat. Skąd ta pewność? Dziś ekologia nie jest trendem, ale jedyną drogą. Będziemy nią podążać, oferując naszym klientom nowoczesne obiekty modułowe z drewna. Stoi za nami Grupa Erbud – największa niezależna grupa budowlana w Polsce, zatrudniająca prawie 3 tysiące pracowników, istniejąca 30 lat, notowana na GPW. To duży gracz, dający nam olbrzymie wsparcie i doświadczenie na rynkach międzynarodowych" - ogłosił nowy zakład w listopadzie 2022 roku.

Zamówienia i pierwszy, podstawowy rynek zbytu miał być w Niemczech. W drugiej kolejności - w Polsce. Mieszkańców okolic cieszyła wizja rozwoju zakładu, bo oznaczała przybywanie miejsc pracy. W pierwszym etapie zapowiadano zatrudnienie 150 osób, a w kolejnym 300. Tyle ludzi liczyć miała załoga MOD21 w 2026 roku.

- Oferujemy możliwość pracy w bardzo nowoczesnym zakładzie produkcyjnym, spółce, która myśli ekologicznie i szuka innowacyjnych rozwiązań. Zaletą jest również możliwość uczestniczenia w projekcie, który powstaje od samiutkiego zera. Mamy oczywiście topowych menedżerów z wieloletnim doświadczeniem; mamy doskonałe zaplecze potężnego Erbudu z ponad 30-letnią historią, ale jednak to cała załoga wspólnie pracować będzie nad idealnymi rozwiązaniami i wspólnie przecierać szlaki. Myślę, że dla wielu osób taka „start-upowość" jest ekscytująca - podkreślał prezes MOD21 Theodor Kaczmarczyk w 2022 roku.

Już sama rekrutacja do pracy tutaj była wyjątkowa. Po menagmencie szukano elektryków i innych fachowców, a także pracowników linii produkcyjnej. Po wstępnej selekcji zapraszano na rozmowy do zakładu, gdzie nawet „zwykłym" kandydatom do pracy pokazywano zakład, zaznajamiano z przyszłym szefem. Młode talenty wyłapywano... w grze komputerowej!

29 listopada 2022 roku fabrykę otwarto. I to z jaką pompą! Start MOD21 celebrowano wśród tysiąca zaproszonych gości, z Polski i Niemiec. Wchodzili do fabryki tunelem imitującym las, a w środku mogli zanurzyć się w wirtualnej rzeczywistości, wybrać się do kina rowerowego, ułożyć gigantyczną jengę albo kostkę rubika. A także - zobaczyć, jak wygląda budynek stworzony z modułów drewnianych czy poznać od podszewki proces produkcji w fabryce MOD21. Powiało nowoczesnością...

Miało pracować 300 osób

Plany były ambitne. Spółka zapowiadała na starcie nowego zakładu produkcję 30 tys. mkw. pow. całkowitej modułów w pierwszym roku działalności i około 240 mln zł przychodów. Deklarowana wydajność niemal w pełni zautomatyzowanej linii wynosiła do 375 mkw. modułów dziennie. Zgodnie z zapowiedziami , głównym rynkiem zbytu miały być Niemcy. W 2022 r. w MOD21 pracowało 70 osób. Ale plan zakładał zwiększenie zatrudnienia do 150 pracowników do końca 2023 r. i do 300 w 2026 r. Plany te nie zostały zrealizowane, bo obecnie w ostaszewskim zakładzie pracuje ok. 135 osób.

Gdzie te podwyżki?

Kiedy ten entuzjazm i ekscytacja zaczęły mijać? U właściciela fabryki i wśród zarządzających zapewne wtedy, gdy okazywało się, że biznes nie jest strzałem w dziesiątkę. - Erbud po prostu przez ostatnie lata dokładał do tego biznesu i stracił nadzieję na poprawę koniunktury. Sektor budownictwa modułowego nie rozwinął się tak, jak przewidywaliśmy. Poszczególne rządy też już nie przykładały do niego takiej wagi; nie wspierały - słyszymy dziś od człowieka na kierowniczym stanowisku w zakładzie. Słowa padają w sierpniu br., przy okazji zapowiedzi wygaszania zakładu. A zatem - nawet niepełne cztery lata od jego uruchomienia. Skoro „przez ostatnie lata" Erbud dokładał, to czy fabryka kiedykolwiek była na wyraźnym plusie?



FOT. GRZEGORZ OLKOWSKI

Produkcja przez MOD21 drewnianych modułów do budownictwa nie przetrwała nawet pełnych 4 lat

U przynajmniej części pracowników entuzjazm zaczął opadać, gdy warunki pracy nie okazały się tak świetne, jak liczyli. Rok 2026 oznaczał już rozgoryczenie choćby przy produkcji. - Zarówno na linii produkcyjnej, jak i na scalaniu jest bardzo dużo pracy, a pracowników ciągle brakuje. Od ludzi wymaga się coraz więcej, jest ciągłe poganianie i nadmierna kontrola. Kolejnym problemem są podwyżki. Pracownicy od dłuższego czasu słyszą, że temat zostanie rozpatrzony w następnym kwartale, jednak termin jest ciągle przekładany, a obiecanych podwyżek nadal nie ma. Firma dużo wymaga od pracowników, ale nie idzie za tym odpowiednie wynagrodzenie ani docenienie ich pracy - skarżył się w czerwcu br. były już pracownik MOD21 (na Goworku).

Frustracja, presja, wyśrubowane normy - na to narzekali też inni z produkcji.

Nie pomógł pomysł z modułowymi ośrodkami dla uchodźców

Trudno zarzucić menagmentowi fabryki i Erbudu brak inicjatywy. Swoimi modułami MOD21 starał się zainteresować nie tylko niemieckiego, ale i polskiego klienta. Zlecenia były i są jeszcze (trzeba je dokończyć), ale lukratywnego biznesu z tego nie ma.

„Wyjściem do przodu" miało być też wyczucie wyzwań zachodniego świata. Stąd oferta specjalna i perspektywiczna: modułowe ośrodki dla uchodźców i takież schroniska dla cudzoziemców.

„W obliczu kryzysów migracyjnych, które dotykają Europę i inne regiony świata, coraz większe znaczenie zyskuje modułowe zakwaterowanie dla uchodźców. To innowacyjne podejście do tworzenia bezpiecznej i funkcjonalnej przestrzeni, które wyróżnia się szybkością realizacji, elastycznością oraz zastosowaniem ekologicznych materiałów budowlanych. Dzięki temu możliwe jest nie tylko szybkie reagowanie na potrzeby społeczne, lecz także długoterminowe wykorzystanie obiektów" - ogłosiła fabryka MOD21. Za przykłady sprawdzania się takich właśnie rozwiązań podawała choćby dwa rozwiązania niemieckie. Ale i to „wyjście do przodu" sukcesu nie oznaczało.

Anatomia porażki

Komunikat o końcu MOD21 pojawił się 26 sierpnia 2026 r. „Zarząd ERBUD S.A. zdecydował o zaprzestaniu działalności w segmencie budownictwa modułowego, czyli w spółkach MOD21 z fabryką w Ostaszewie pod Toruniem" - brzmiał przekaz. Dalej mowa była m.in. o planie zbycia aktywów - zarówno spółki MOD21, jak i jej niemieckiego brata - MOD21 GmbH. „Brak rentowności oraz brak przesłanek poprawy wyników w przewidywalnej przyszłości" - takie powody główne decyzji podano. Ale wymieniono także inne.

Biznes modułowy był odpowiedzią na trend dążenia do zeroemisyjności budynków w Europie Zachodniej, głównie na rynku niemieckim. Zrealizowano tam ponad 21 projektów, w tym m.in. serię żłobków czy zakwaterowania dla osób w kryzysie uchodźczym. W świetle zapowiadanych dużych inwestycji z funduszu Krajowego Planu Odbudowy rozpoczęto kontraktację także w Polsce: na tym rynku MOD21 wykonał lub wykonuje 7 projektów.

- Tworząc ten start-up byliśmy w innych realiach. Regulacje środowiskowe, rozwój ESG i przede wszystkim obietnica dopłat czy ulg podatkowych do technologii modułowej w Niemczech, który miał być głównym rynkiem zbytu MOD21, straciły znaczenie w dniu wybuchu wojny w Ukrainie. Gospodarka naszych zachodnich sąsiadów popadała jednoczenie w recesję. Przestawienie kierunku na rynek polski niestety nie było wystarczające, by wypracować zakładane cele - nie krył Dariusz Grzeszczak, prezes i założyciel Grupy Erbud.

Jak zwolnić ludzi „po ludzku"?

Tak jak MOD21 w sposób nowoczesny rekrutował do pracy, tak i chce teraz żegnać się z pracownikami. Stopniowe wygaszenie MOD21 oznaczać będzie docelowo zarówno zamknięcie fabryki obiektów w Ostaszewie, jak i redukcję zatrudnienia. Ale pracownicy objęci zostaną kompleksowym programem outplacementowym, części z nich zostanie zaproponowany transfer do innych spółek z grupy Erbud, która jest jednym z większych pracodawców w regionie Kujaw i Pomorza.

- Jako grupa Erbud zatrudniamy w regionie 900 osób, w różnych spółkach i miejscach. W pierwszej kolejności zatem pracownikom proponowane będzie zatrudnienie w innym zakładzie, innej spółki. Nie wykluczamy też takiego scenariusza, że ktoś będzie chciał przejąć od nas tę fabrykę wraz z produkcją i załogą - mówi Marcin Kasprzak, dyrektor marketingu i PR w Erbud S.A.

Grupa Erbud przez 36 lat działalności nie przeprowadziła żadnego zwolnienia grupowego. Teraz chce stanąć na wysokości zadania i zadbać o ludzi. Czas pokaże, czy to się uda.©℗

eprasa.pl dcbe6e08c7

WYWIAD

Magdalena Katarzyna Bajor: Najczerwieńsze jabłka są zawsze tam, skąd musieliśmy odejść

– Całe życie mieszkali na Dolnym Śląsku, ale powtarzali, że najczerwieńsze jabłka są w Stanisławowie. O utraconych domach, rodzinnych tajemnicach, mówi pisarka Magdalena Katarzyna Bajor, autorka powieści „Niedom”

Anita Czupryn

Urodziła się pani na Dolnym Śląsku. Od ilu pokoleń jest pani stąd?

Na Dolny Śląsk przyjechali moi dziadkowie. Już po wojnie urodziła się tutaj moja mama, a później ja. Dziadkowie przyjechali z Racławic Kościuszkowskich.

Co zabrali ze sobą do nowego życia?

Krowę. Naprawdę. Moja babcia nie potrafiła zostawić Krasuli. Mówiło się nawet, że ma trzy córki, włączając w to Krasulę. Niewiele więcej mogli zabrać, bo niewiele mieli.

W pani rodzinie więcej opowiadało się o miejscu, z którego dziadkowie przyjechali, czy o tym, do którego trafili?

Miałam słaby kontakt z dziadkami. Babcia zmarła dość młodo, a mama przez większość życia nie utrzymywała kontaktu ze swoim ojcem. W domu nie mówiło się o Racławicach, a o Jeleniej Górze tylko wycinkowo. To jeden z powodów, dla których razem z kuzynem zaczęliśmy drążyć rodzinną historię.

Była w niej tajemnica, o której mówiło się szeptem albo nie mówiło wcale? Czego szukaliście?

Tajemnica kryła się w niedopowiedzeniach. Próbowaliśmy ze strzępów informacji złożyć jakiś obraz, zrozumieć, co się wydarzyło. Dla mojej mamy istniała Jelenia Góra, a dokładnie Strupice i ulica Wiejska, na której mieszkała jako mała dziewczynka, ale już jej znacznie starsza siostra wymazała z pamięci Jelenią Górę. Dla niej istniały Racławice, istniało Zakopane, ale nie Jelenia Góra. Nigdy nie odkryliśmy prawdy. To stało się bezpośrednią inspiracją do napisania pierwszej części książki, wiele lat temu.

Dobrze, że pani do niej wróciła. Czy jako dziecko miała pani poczucie, że żyje wśród cudzych śladów?

Bardziej ode mnie odczuwało to pokolenie moich dziadków i rodziców. Sama doświadczałam raczej wielokulturowości. Mieszkałam w miejscowości, do której przyjechali reemigranci z Francji, żyli tam również Niemcy, już starzy i do pewnego stopnia zasymilowani, oraz ludzie, którzy napłynęli z wielu stron. Najbardziej widoczne było to podczas świąt. Dzieci przynosiły potrawy ze swoich domów: jedne kutię, inne makiełki – a i te różne, na kluskach, albo na chałce. W niektórych domach jadało się biały barszcz, w innych czerwony – czysty albo zabielany.

Pani dziadkowie zamieszkali w domu zbudowanym przez Niemców?

Tak. Innych wtedy nie było. Ja dorastałam w przedwojennym pensjonacie, w którym pracowała mama. Tyle że został on już na nowo wyposażony, umeblowany i odnowiony w czasach Polski Ludowej. Dzisiaj mieszkam w starym domu i zachowałam na przykład oryginalne drzwi. Mam też przedmioty, które wprawdzie nie pozostały w tym domu po poprzednich mieszkańcach, lecz z pewnością są z Dolnego Śląska.

Zastanawiała się pani kiedyś, kto przed laty spał w pani pokoju, wyglądał przez to samo okno, posadził drzewo w ogrodzie?

Nigdy nie myślałam w ten sposób. W poprzednim miejscu zamieszkania miałam natomiast kontakt z rodziną dawnych właścicieli. Zmieniałam miejsca zamieszkania, spotykałam ludzi, którzy przyjeżdżali w poszukiwaniu swoich korzeni. Znam niemiecki i kiedy Niemcy pojawiali się we wsi, sąsiedzi wołali mnie, żebym pomogła się z nimi porozumieć.

Kim byli dla pani przyjeżdżający Niemcy: dawnymi wrogami, obcymi ludźmi czy po prostu poprzednimi mieszkańcami pani świata?

Mam teorię, że powojenna trauma pozostaje szczególnie silna w ludziach, którzy mieli styczność z żyjącymi świadkami, choćby z dziadkami. W trzecim pokoleniu patrzy się już inaczej. Kiedy poznaje się wnuka kogoś, kto mieszkał tu przed wojną, widzi się po prostu drugiego człowieka.

Dolny Śląsk stał się częścią pani tożsamości?

Tu się urodziłam i wychowałam. Dla mnie to dom.

Dom czy „niedom”?

„Niedom” jest pewnego rodzaju parafrazą. Myślę, że pokolenie moich dziadków było bardzo zagubione. Przyjechali do nowego miejsca, do zupełnie innego systemu. Wyjechali z tradycyjnej i konserwatywnej wsi, a trafili na tzw. Ziemie Odzyskane i do Polski Ludowej. Przyjechali pełni oczekiwań, tymczasem Jelenia Góra znajdowała się pod administracją sowiecką. Ówczesny starosta, Wojciech Tabaka, niewiele miał do powiedzenia. Później był oskarżony, stracił posadę, bo ukrywał swój udział w wojnie polsko-bolszewickiej. Ludzi kwaterowano wspólnie z Niemcami. To musiało być niełatwe dla obu stron. Myślę, że samo doświadczenie mieszkania w domu należącym do kogoś innego i wspólnego życia przez niemal rok pod jednym dachem może być trudne.

Pochodzę z Warmii i dzieciństwo spędziłam w poniemieckim pałacu. Kiedy przyjeżdżali Niemcy, nam, dzieciom nie pozwalano na kontakt z nimi, bo, jak mówili dorośli, „Jeszcze zabiorą nam dom”. U pani też istniał taki lęk?

Zaraz po wojnie mogło tu być podobnie, ale urodziłam się na tyle „późno”, że już tego nie doświadczyłam.

Napisała pani, że „Niedom” powstał z nieopowiedzianych historii, które zbierały się w pani przez lata. Czyje to były historie?

Lubię i umiem słuchać. Jako dziecko chętnie podsłuchiwałam dorosłych. A oni, kiedy pojawiały się dzieci, przechodzili na francuski albo niemiecki, by nie rozumiały o czym jest mowa. Niektóre kobiety nauczyły się niemieckiego, gdy w czasie wojny przymusowo pracowały w Niemczech. Kiedy nie chciano, żeby dzieci coś usłyszały, zmieniano język. W książce znalazło się kilka takich historii, przetworzonych, ale zainspirowanych prawdziwymi wydarzeniami.

Gdzie w „Niedomie” kończy się pamięć prawdziwych ludzi, a zaczyna pani wyobraźnia?

Opisywane w powieści zdarzenia są częściowo prawdziwe. Prawdziwą postacią jest na przykład Wilhelm Schwarz, który pracował jako palacz w szpitalu na Wysokiej Łące w Kowarach. Pisząc książkę, prowadziłam dokumentację historyczną, ale by powstała opowieść, konieczna była wyobraźnia. To w pewnej mierze zasługa pani Beaty Stasińskiej. Rozmowy z nią dały mi większą swobodę w odchodzeniu od faktów na rzecz prawdy literatury.

Której historii swoich bohaterów najdłużej bała się pani dotknąć?

Śmierci postaci ważnej dla tej powieści. Gdy pisałam pierwszą część książki, nie przeżyłam jeszcze straty bliskiej osoby. Kiedy za namową przyjaciół wróciłam po dłuższej przerwie do pisania, byłam już po takim doświadczeniu. Śmierć w książce nie została opisana wprost, widzimy ją niejako „po fakcie”, zgodnie z bardzo ludzką reakcją na zjawisko śmierci. Trudno o niej mówić. Człowiek odsuwa od siebie to doświadczenie, ucieka przed nim, jakby ono nie istniało.

Co z własnego życia ukryła pani w tej powieści?

Niedawno przeczytałam opinię, że w „Niedomie” jest bardzo dużo bólu. Pomyślałam wtedy: jest w nim wiele smutku, ale są także wesołe momenty. Przypomniałam sobie jeden z nich, a po chwili zorientowałam się, że przecież usunęłam go z książki. Czekam teraz na papierowy egzemplarz, żeby przeczytać ją tym razem tak, jak się najlepiej czyta, z szelestem kartek w dłoniach. Wracając do pani pytania sądzę, że w książce jest ślad empatii wobec bohaterów i więzi, jaką z nimi odczuwam. Darzę ich uczuciem. Całą rodzinę: Henryka, Helenkę, Czesię i Stefę, którzy noszą po części imiona bliskich mi osób. Pisząc, miałam do tych postaci bardzo osobisty stosunek. Nie chciałabym, żeby czytano „Niedom” jako książkę o traumach. Poza wieloma wątkami, których nie chcę tu zdradzać - jest to opowieść o różnych odcieniach miłości.

Rzeczywiście, o miłości jeszcze nie rozmawiałyśmy.

„Niedom” w dużej części opowiada o miłościach, najróżniejszych, w różnych relacjach. To powieść o wyborach, niekiedy trudnych i niejednoznacznych, których dokonujemy właśnie w imię miłości. Uważam, że to także opowieść o nadziei.

Można zbudować więź z kimś, kto ciągle odchodzi?

Można zbudować więź nawet z kimś, kogo w ogóle przy nas nie ma. Tak jak jeden z bohaterów powieści tworzy więź, pisząc listy.

Wróćmy nie tyle do fabuły „Niedomu”, bo nie chciałabym spoilerować, ile do pytań, które pani powieść otwiera. Co pozwala człowiekowi powiedzieć: „Jestem stąd”? Czy to jest miejsce urodzenia, groby bliskich, może miłość?

Myślę, że jest to wybór. Każdy ma prawo uznać, że jakieś miejsce jest jego, ponieważ chce tam żyć albo do niego wracać. Każdy ma prawo zdecydować, skąd chce być.

Potrzeba czasu, żeby obca ziemia stała się ojczyzną?

To sprawa bardzo indywidualna. Znałam ludzi, którzy mieszkali tutaj przez całe życie, a mimo to wciąż powtarzali, że najczerwieńsze jabłka są w Stanisławowie.

Można przez całe życie mieszkać w jakimś miejscu i nigdy nie poczuć się u siebie?

Tak. Dlatego warto mieć wybór i nie bać się zmian, na ile są one możliwe. Ale nie wszyscy mają taki wybór. Świat coraz bardziej się komplikuje, a przymusowe migracje ludzi uciekających przed wojną i przemocą stają się codziennością. Nie jesteśmy przygotowani na wielką

eprasa.pl dcbe6e08c7

ludzką falę, która, jak sądzę, jeszcze za naszego życia przypłynie, choćby z powodów klimatycznych. Pytanie, w jaki sposób przygotujemy się na przyjęcie ludzi znajdujących się w potrzebie.

Utrata domu kończy się z chwilą znalezienia nowego miejsca czy może ciągnąć się przez pokolenia?

Dom jest sprawą emocjonalną i w każdej rodzinie wygląda to inaczej. Są ludzie, którzy potrafią go stworzyć w każdym miejscu. Inni mogą mieć doskonałe warunki, a mimo to nigdy tego domu nie zbudują. Większość ludzi ma jednak w sobie i siłę, i nadzieję, by to czynić.

Czy dzieci dziedziczą tęsknotę za miejscem, którego nigdy nie widziały? Za tymi najczerwieńszymi jabłkami w Stanisławowie?

To zależy od tego, czym je karmimy. Nasze pokolenie nadal nosi w sobie wojenne obciążenie również dlatego, że kiedy byliśmy dziećmi, bez przerwy karmiono nas filmami wojennymi. Wiele zależy zatem od tego, co sami przekażemy dzieciom.

Dlaczego człowiek idealizuje utracony dom, nawet jeśli wcale nie był w nim szczęśliwy? Czyli znowu: dlaczego tamte jabłka są zawsze czerwieńsze?

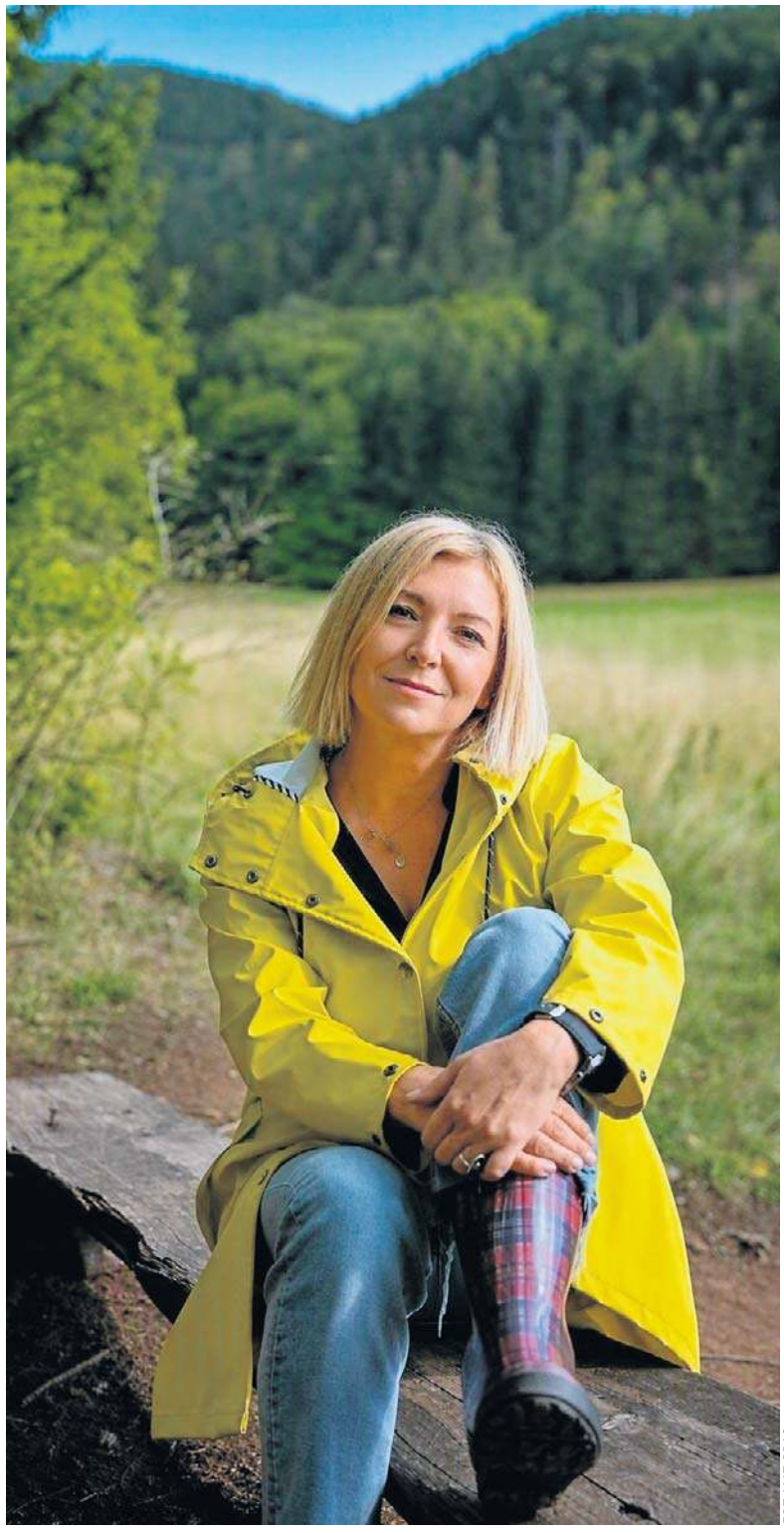
Ponieważ byliśmy wtedy dziećmi, a świat w dzieciństwie jest zupełnie inny. To chyba tęsknota za dzieciństwem, za pewną beztroską.

Ludzie, którzy raz utracili wszystko, potrafią jeszcze uznać nowe miejsce za własne, czy już zawsze będą się bać, by je pokochać jak dom?

Ludzie mający dzieci znajdują w sobie zwykle więcej siły. Nawet jeśli nie potrafią stworzyć czegoś dla siebie, próbują zrobić to dla swoich dzieci. Jesteśmy zdolni do wielkich wyrzeczeń, żeby dziecku żyło się lepiej. Obecnie znacznie więcej mówimy o kondycji psychicznej człowieka i mamy większą świadomość. W latach czterdziestych ludzie nie zagłębiali się aż tak we własne emocje. Myśleli o dzieciach, dla których walczyli z codziennymi trudnościami.

Dlatego najważniejsze historie rodzinne tak często pozostają nieopowiedziane? Ludzie milczą, żeby chronić dzieci czy samych siebie?

Jedno i drugie. Czasami chcą po prostu zapomnieć o bolesnych doświadczeniach.



FOT. MAT. PRAS.

Magdalena Katarzyna Bajor: „Niedom" jest pewnego rodzaju parafrazą. Myślę, że pokolenie moich dziadków było zagubione. Przyjechali do nowego miejsca, do zupełnie innego systemu

Ale przemilczana krzywda przecież nie znika. A niekiedy zaczyna działać w kolejnych pokoleniach, ponieważ następcy drążą, próbując odkryć prawdę.

Znałam ludzi, o których bolesnych doświadczeniach dowiedziałam się dopiero po ich śmierci. Za życia byli wulkanami radości. Maciej Bobula, dolnośląski poeta i prozaik, poruszył podobne wątki w swojej książce „Szalejów". Opisał kobietę, mieszkankę wsi, która była Łemkinią, doświadczyła wielu krzywd i została przesiedlona w ramach akcji „Wisła". Nigdy nie powiedziała o tym ani słowa. Myślę, że podobnych ludzi jest bardzo wielu.

Co jest dla dziecka trudniejsze: bolesna prawda czy poczucie, że wszyscy coś przed nim ukrywają?

Bolesną prawdę łatwiej przyjąć dorosłemu, który potrafi już w jakiś sposób radzić sobie z trudnymi emocjami. Dziecku być może rzeczywiście nie powinno się mówić o wszystkim, ponieważ nie ma jeszcze odpowiednich mechanizmów obronnych.

Niektóre tajemnice powinny umrzeć razem z ludźmi, którzy je nosili? Kiedy opowiedzenie cudzej historii staje się ocaleniem, a kiedy naruszeniem intymności? Myślała pani o tym podczas pisania?

Nie miałam poczucia, że naruszam czyjąś intymność, ponieważ historie zawarte w książce są uniwersalne. Podobne rzeczy mogły przydarzyć się wielu osobom i zapewne się przydarzyły. Los naszych dziadków był doświadczeniem całego pokolenia: przemoc, zagubienie, konieczność opuszczenia domu. Niezależnie od tego, czy ktoś szedł z Kazachstanu, z Kresów czy do Niemiec, przeżywał własną traumę. Niedawno, podczas Festiwalu Góry Literatury uczestniczyłam w spotkaniu z niemieckim pisarzem Andreasem Kossertem, autorem książki „Exodus. Historia ludzkości", poświęconej dziejom wygnań od najdawniejszych czasów. Abstrahuję w tej chwili od wojny i odpowiedzialności, mówię wyłącznie o ludzkim wymiarze tych zdarzeń. Powojenne przesiedlenia były wielkim eksperymentem społecznym, dotyczącym milionów ludzi i były pełne ofiar. Pisał o tym również Zbigniew Rokita w „Odrzanii". Wielu przesiedleńców zmarło w drodze. Wielu nie trafiło na Dolny Śląsk, gdzie czekały domy i pozostawione sprzęty, lecz do miejsc, w których nie mieli niczego. Bywali zdani na czyjąś łaskę.

W pani książce zwróciłam też uwagę, że to najczęściej kobiety przechowują szczegóły życia: smaki, zapachy, ubrania, modlitwy i słowa wypowiadane dzieciom przed snem. Dlaczego?

Myślę, że mężczyźni także je pamiętają, tylko trudniej im o nich mówić. Przez pokolenia rola kobiety polegała również na pielęgnowaniu domowych rytuałów.

„Niedom" jest pani późnym debiutem. Dlaczego przez tyle lat nie pozwalała sobie pani zostać pisarką?

Zadecydowało o tym zwyczajne życie: rodzina, dziecko, nauka, praca. Zaczynałam pracować w bardzo trudnych warunkach. W okolicach Wałbrzycha bezrobocie przekraczało trzydzieści procent. Pisałam wiersze i krótkie opowiadania, lecz nigdy nie sądziłam, że potrafię stworzyć powieść. Nie sądziłam, że mogę być aż tak konsekwentna. Może nie wierzyłam w wartość tego, co pisałam.

Co sprawiło, że jednak wyjęła pani powieść z szuflady i oddała ją obcym ludziom? A teraz zacznie ona żyć bez pani, już własnym życiem.

Przeżywam przygodę życia. Uważam się raczej za osobę rozsądną, twardo stąpającą po ziemi, dlatego wszystko, co się teraz dzieje, jest dla mnie zupełnie nieoczekiwane i wzruszające. Zadecydował przypadek. Rozmawialiśmy kiedyś z przyjaciółmi i przypomniał mi się tekst o Strupicach. Nie pamiętam już, czego dokładnie dotyczyła ta rozmowa. Moja przyjaciółka - Dominika poprosiła: „Daj mi to przeczytać". Kiedy już przeczytała, bez przerwy suszyła mi głowę o ciąg dalszy tej historii. Wtedy powieść liczyła chyba sześćdziesiąt stron. Zaczęłam pisać dalej.

Wykształcenie techniczne pomaga budować powieść czy podczas pisania trzeba o nim zapomnieć?

Myślę, że wykształcenie techniczne pomaga w pisaniu powieści science fiction, które lubię czytać. Wychowałam się w domu, w którym rozmawiało się o muzyce, literaturze i sztuce. Zawdzięczam to przede wszystkim mamie. Nie wiem, czy wykształcenie techniczne pomaga w pisaniu, czy nie. Wiem natomiast, że jeśli napiszę drugą książkę, będę musiała przyłożyć się do niej jeszcze bardziej.

Nie ma pani poczucia straty, że marzenie o literaturze tak długo odkładała pani na później? Co natomiast zyskuje debiutantka, która przychodzi do literatury już życiowo doświadczona...

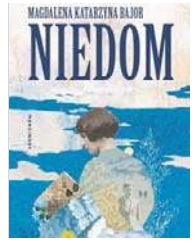
Nie mam poczucia straty. Uważam, że na odpowiednie rzeczy przychodzi odpowiedni czas. Widocznie dla mnie nadszedł właśnie teraz. A dojrzałość - pozwala patrzeć na różne sprawy z większego dystansu.

„Niedom" jest dla mnie też opowieścią o poszukiwaniu własnego miejsca. Pani je znalazła?

Tak. Dobrze czuję się na Dolnym Śląsku. Nie twierdzę, że jest to jedyne i ostateczne miejsce, ale chcę i lubię tu wracać.

Książka

Magdalena Katarzyna Bajor
„Niedom",
Wydawnictwo: Marginesy
Warszawa 2026



eprasa.pl dcbe6e08c7

RETROMOTORYZACJA

Samochód XXI wieku? Najlepiej z początków poprzedniego. Fani starych aut wiedzą, co mówią

Ma prawie sto lat, ale nie traktuję go jako zabytek muzealny, przy którym trzeba stać z czystą szmatką od kurzu: wsiadam i jadę - z żoną i córką, z przyjaciółmi, na rajdy, czy nawet na zakupy. Ludzie zawsze się uśmiechają na widok starego Forda, robią zdjęcia i zagadują: ile kosztuje utrzymanie takiego auta. A ja mówię - niewiele, bo sie nie psuje...

Grzegorz Okoński

Między innymi to auto będzie można zobaczyć na rozpoczynającym się dziś w Poznaniu Rertro Motor Show. Ford A Pick-Up wygląda bardzo dziś nietypowo: przód eleganckiego, zabytkowego samochodu z dwuosobową szoferką i szprychowymi kołami. Tył – ze skrzynią ładunkową, jak w amerykańskich samochodach wożących na farmach wszystko co trzeba. Podobno w Europie jest około 25 sztuk tego typu – w tym jedna należąca do Piotra Matuszka, pasjonata samochodów, ich kolekcjonera i czterokrotnego automobilowego Mistrza Polski.

Tym samochodem, zbudowanym w 1928 roku, zachwycili się w czerwcu Czesi z Veteran Car Club Praha, gdy jego właściciel zameldował się na trasie ponad tysiąckilometrowego rajdu, „1000 mil československých" z Pragi do Bratysławy i z powrotem do Pragi, wśród 130 przedwojennych aut – w tym trzech z Polski. Ale też pamiętali, że dla Piotra i Lidii Matuszek nie jest to pierwszy taki rajd: bo dwa lata wcześniej pokonali oni 1100 kilometrów na tej samej trasie Praga – Bratysława Praga innym Fordem A – tym razem modelem Sport Coupe. Choć może... nie wiedzieli, że państwo Matuszek mają jeszcze trzeciego Forda A – czterodrzwiowego, większego od swoich „kolegów z garażu"! Bo pan Piotr zbiera zabytkowe samochody – lecz nie trzyma w zamknięciu, lecz utrzymuje je w pełnej sprawności i całkiem sporo nimi jeździ!

- Zaczęło się niewinnie, od dużego Fiata, z którym miałem trochę kłopotów, bo ciągle gnił – opowiada Piotr Matuszek. – Po nim był Fiat 126p, po nim współczesne auta, aż wreszcie wpadł mi w oko na aukcji amerykańskiej ten nietypowy pick-up, czyli Ford A. Nieczęsta kombinacja taki wóz ze skrzynią z tyłu. Wtedy zachwycił mnie wiekiem, tym, że ocalał przez tyle lat, tak, że nawet nie przeraziło mnie to, że wóz nie przypominał pięknego zabytku, bo był... po pożarze. To znaczy – on nie zapalił się wcześniej, bo komora silnika nie nosiła przecież śladów ognia, natomiast był przechowywany w garażu, który się palił. Samochód wyciągnięty z pożaru nadawał się więc tylko do remontu...



FOT. PIOTR MATUSZEK

Pierwszy w kolekcji zabytków, rzadki w takiej konfiguracji - czyli Pick Up

To „choroba", której się nie leczy: myślę zatem o kolejnych autach, mam włoskiego Fiata 508C, marzę więc o polskim, choć pozyskanie go będzie bardzo trudne

PIOTR MATUSZEK

kolekcjoner, założyciel Auta Po Babci

Piotr Matuszek odrestaurował, a właściwie odbudował Forda, przywracając mu wygląd sprzed blisko stu lat. Przyznaje, że kupując taki samochód myślał, że uda się go wykorzystać jako element promocji swojej działalności gospodarczej – budowlanej i klimatyzacyjnej, ale mimo to nieczęsto umieszcza na nim elementy reklamowe w postaci nakładanych na maskę magnesów: najczęściej piękny samochód jeździ w czystej formie.

Miłość do Forda A zaowocowała kolejnymi nabytkami: po Pick-Upie przyszła kolej na dwanastępne modele A, także sprowadzone ze Stanów Zjednoczonych: model Sport Coupe, samochód czteroosobowy, ze składaną tylną dwuosobową kanapą – zwaną „kanapą teściowej" – i stopniem ułatwiającym wsiadanie, a także większy, czterodrzwiowy model, wykorzystywany do jazd dla rodziny i przyjaciół, a zdarzyło się mu też obsługiwać wesela.

- Cieszę się, że ten Sport Coupe jest podziwiany wszędzie, gdzie pojadę, bo w pierwotnej wersji, jak przyjechał do Polski, nie był w super stanie - też był mocno zmęczony. Z cztery – pięć lat go restaurowałem. I nim najpierw pojechałem na tysiąckilometrowy rajd do Pragi...

Bo pan Piotr wychodzi z założenia, że samochody są do jeżdżenia, a nie do zbierania kurzu: wszystkie wozy są regularnie użytkowane.

- Ich utrzymanie nie jest jakoś przesadnie kosztowne: to tak jak ze zwykłym samochodem, który nie jest jeszcze nafaszerowany elektroniką: w grę wchodzi wymiana oleju, jakiś pasek klinowy, jakiś wyciek, ubezpieczenie OC... Dbam o nie, więc raczej niewiele się psują. Odwdzięczają się tym, że odpalam silnik i jedziemy: do pracy, na rajdy, nawet po zakupy! Ludzie się zawsze uśmiechają na ich widok, robią zdjęcia, chwalą, pytają o wiek... Te samochody są dobrze odbierane, gdzie tylko się pojawią.

A Fordy – tak jak inne zabytki pana Piotra – kabriolet MG TD, Ford Mustang Coupe z 1967 roku i wiśniowy Fiat 508C – mają gdzie się pojawiać, bo ich właściciel z żoną chętnie je prezentuje na wystawach i rajdach. Teraz kolekcję można zobaczyć w Poznaniu na targach Retro Motor Show, a wcześniej – na kilku dużych imprezach związanych z „zabytkami na kołach".

Oprócz czeskiego rajdu, Piotr Matuszek pojechał z żoną w lipcu na 45. Międzynarodowy Beskidzki Rajd Pojazdów Zabytkowych (V Runda Mistrzostw Polski Pojazdów Zabytkowych), połączony z paradą w centrum Bielska – Białej. Tu na trasę wyjechał „młodzieniec" w kolekcji – biało – czerwony Ford Mustang Coupe z 1967 roku, który także zachwycił organizatorów i startując w klasie Post 60 zdobył trzecie miejsce i nagrodę w Konkursie Elegancji. Jednocześnie państwo Matuszek triumfowali w klasie pre-

eprasa.pl dcbe6e08c7

45, uzyskując pierwsze miejsce w próbach sportowych w swojej klasie, drugie w klasyfikacji generalnej oraz nagrodę w konkursie elegancji Szczyrk – Bielsko - Biała. Nawiasem mówiąc, była to udana impreza dla miłośników motoryzacji z Wielkopolski, bo Automobilklub Wielkopolski otrzymał specjalną nagrodę Komandora Jacka Balickiego za wieloletnią przyjaźń i najliczniejszą reprezentację na rajdzie.

Dla Forda Pick-Upa nagrody nie są obce. Start w mistrzostwach Polski przyniósł już mu tytuły mistrzowskie, m.in. w grudniu 2022 roku, gdy w czasie Mistrzostw Polski Pojazdów Zabytkowych państwo Matuszek mogli postawić na jego masce puchar Mistrzów Polski w klasie pre-45 w kategoriach kierowców i pilotów, Konkursu Elegancji i w Próbach Sportowych, a sam Ford zdobył tytuł Automobila Roku. W tych zawodach Automobilklub Wielkopolski uplasował się na piątym miejscu wśród 25 klubów z całej Polski.

- Udało się utrzymać tytuł już rok później, w I Rundzie Mistrzostw Polski Pojazdów Zabytkowych w Stalowej Woli, z naszym Fordem A Sport Coupe zdobyliśmy pierwsze miejsce w klasie pre-45, tak samo w próbach sportowych i w konkursie Najpiękniejszy Pojazd. W sumie mamy na koncie cztery Mistrzostwa Polski!



FOT. AUTO PO BABCI

Trzy Fordy A w całej okazałości

Piotr Matuszek godnie reprezentuje Automobilklub Wielkopolski, m.in. kolejną kadencję będąc przewodniczącym Komisji Pojazdów Zabytkowych. Niezależnie od tego współtworzy projekt Auto Po Babci.

- Taka fajna nazwa, nawiązująca do wieku samochodów – naturalnie nie dosłowna, bo żaden z samochodów nie jest prezentem od babci! Jesteśmy grupą pasjonatów zabytkowej motoryzacji, realizujemy swoją pasję organizując rajdy pojazdów zabytkowych, uczestniczymy w wystawach, prelekcjach, rekonstrukcjach historycznych, widowiskach, wszędzie tam gdzie dzieje się historia.

Obecnie na Międzynarodowych Targach Poznańskich w Poznaniu odbywa się - od piątku 18 do niedzieli 20 września- już dziesiąta edycja targów Retro Motor Show. W ubiegłym roku zajęły pięć dużych pawilonów i ponad 35 tys. metrów kwadratowych do zwiedzania - w tym roku organizatorzy zapewniają, że będzie jeszcze lepiej! Można bowiem podziwiać niemal tysiąc zabytkowych samochodów, motocykli, autobusów, wozów strażackich i pojazdów wojskowych - przy okazji: Muzeum Broni Pancernej w Poznaniu pokazuje dwa w pełni sprawne czołgi T-34/85 i lekki T-70. A obok zabytków zobaczycie wyszukane stroje z dawnych lat, usłyszycie muzykę retro, a jeśli macie zasobny portfel i czujecie, że właśnie nadszedł czas na spełnienie marzeń - możecie zajrzeć na targową Giełdę Pojazdów Zabytkowych - jedyne takie miejsce, gdzie można porozmawiać z pasjonatami, obserwować i porównywać rozwiązania techniczne w innych wozach, a także kupić części zamienne i całe pojazdy.



FOT. AUTO PO BABCI

„Kanapa teściowej" w Fordzie A Sport Coupe z 1929 roku

Wśród rzadko spotykanych pojazdów zapowiedziany jest też kombajn który pokona 400 kilometrów, a House of Classic przedstawi m.in. jednego z trzech w Europie wozów Simplex Crane Model 5, czyli amerykańskiego Rolls Royce'a z 1916 roku, z gigantycznym 9 litrowym silnikiem o mocy 110 KM, Porsche 911T z 1969 roku w kolorze Bahama Yellow, czy De Tomaso Pantera z 1972 roku, konkurenta Lamborghini Countach i Ferrari 365 GT4 BB. Będzie też Grupa Rekonstrukcji Historycznej „Zmierzch epoki", która przeniesie zwiedzających w klimat belle epoque, z dawnymi strojami i przemiotami z przełomu XIX i XX wieku.



FOT. PIOTR MATUSZEK

Po ponad tysiąckilometrowym rajdzie - meta w Pradze

eprasa.pl dcbe6e08c7

NIEZBĘDNIK CZYTELNICZY

HISTORIA/ OBYCZAJE

Cynamon u podstaw współczesnego świata

Kolumb nie szukał Ameryki, a Magellan nie zamierzał opłynąć świata. Ich prawdziwym celem było znalezienie zachodniej drogi do Indii i źródła tajemniczych i cennych przypraw. Taką tezę stawia w tomie „Walka o przyprawy" Roger Crowley i trzeba przyznać, że brzmi ona efektownie, nieco egzotycznie, a przede wszystkim aromatycznie.

Apetyt Magellana

Oczywiście upieranie się, że to nienasycony apetyt Europejczyków na goździki i gałkę muszkatołową napędził wczesnonowożytną gospodarkę i wywołał zaciekłą rywalizację o kontrolę nad wiodącymi do nich drogami, trzeba solidnie uzasadnić. I Crowley to robi. Na 333 stronach pokazuje, jak zmagania te ukształtowały nowożytny świat.

Weźmy pod uwagę choćby taki fakt: w latach 1511-1571 dwa europejskie państwa - Portugalia i Hiszpania - starając się zdominować dostawy przypraw, połączyły oceany, stały się wielkimi morskimi imperiami i dały początek globalnemu handlowi.

Wyprawa Ferdynanda Magellana w latach 1519–1522, sfinansowana przez Hiszpanię i odnotowana w annałach jako pierwsza podróż dookoła świata, miała tak naprawdę dopłynąć do Wysp Korzennych we wschodniej części Archipelagu Malajskiego. W 1521 r. ekspedycja dotarła do Moluków, skąd jedyny ocalały statek, „Victoria", przywiózł do Hiszpanii tysiące kilogramów drogocennych przypraw, w tym gałkę muszkatołową i goździki.

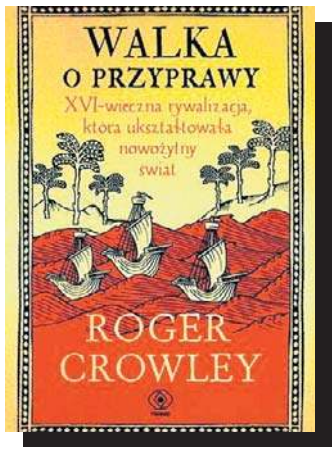
Muszkatołowiec rządzi

Handel przyprawami nie tylko zmienił gospodarkę – przekształcił także kuchnie wielu regionów świata. W średniowiecznej Europie potrawy były często intensywnie korzenne. Łączono słodkie i wytrawne aromaty, a mięsa doprawiano cynamonem, goździkami czy imbirem.

Jeśli wierzyć Crowley'owi, ówczesne pasibrzuchy musiały być bogate. Historyczne zapisy z XVI i XVII w. wskazują, że za jeden funt gałki muszkatołowej (w przybliżeniu niecałe pół kilo) można było kupić dorodnego wołu, kilka owiec albo około 50 metrów tkaniny płóciennej.

Sprowadzanie przypraw było bajecznym interesem. W 1515 r. stopa zwrotu po ich wyładunku w Lizbonie sięgała 700 procent. Nawet legendarne zyski z zondacrypto przy tym bledną.

Bożydar Brakoniecki



Roger Crowley, „Walka o przyprawy", wyd. Rebis, Poznań 2026, cena 89 zł

HISTORIA/ KOŚCIÓŁ

Jan Paweł II podróżuje po Ameryce Łacińskiej

Pod sensacyjnym tytułem „Krzyż i kartele" kryje się pytanie: jaką rolę może odegrać papież w świecie naznaczonym przez wojskowe junty, rewolucje, nierówności społeczne i przemoc karteli? Okazuje się, że rola autorytetu wcale nie musi być symboliczna.

Kierunek: Meksyk

Autor „Krzyża i karteli" Mirosław Olszycki Olsensis przedstawia głęboką historyczno-polityczną analizę pontyfikatu Jana Pawła II, koncentrując się na jego dyplomatycznych i duszpasterskich działaniach na tle burzliwych wydarzeń w Ameryce Łacińskiej. Kontynent ten stał się bowiem dla papieża szczególnym miejscem misji, gdzie krzyż, symbolizujący nadzieję i odkupienie, napotykał na bezlitosną siłę karteli, dyktatur i rewolucji.

Nieprzypadkowo pierwsza pielgrzymka zagraniczna Jana Pawła II miała miejsce do Meksyku. Ogłoszono ją publicznie 22 grudnia 1979 r. i wywołała spore obawy w Kurii rzymskiej. Sytuacja w Ameryce Łacińskiej i tamtejszym Kościele była bowiem burzliwa wskutek posoborowego kryzysu oraz rewolucyjnych nastrojów. Co ciekawe, z Meksykiem Stolica Apostolska nie utrzymywała relacji dyplomatycznych. Dlatego też wizyta miała charakter nieoficjalny, a papież jak każdy podróżny musiał wystąpić o wizę.

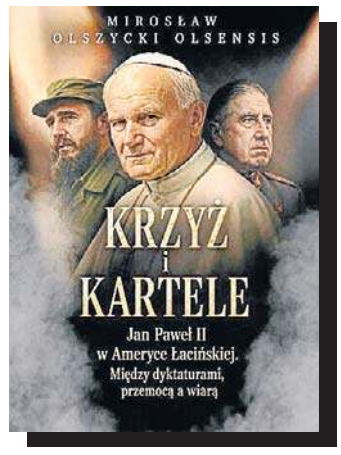
W Nikaragui rewolucyjnie!

Z kolei podczas 17. pielgrzymki wiosną 1983 r. papież odwiedził Portugalię, Kostarykę, Nikaragwę, Panamę, Salwador, Gwatemalę, Honduras, Belize oraz Haiti. W większości tych krajów Ameryki Środkowej panowały niepokoje społeczne w różnym nasileniu, aż do wojny domowej i rządzone były przez niedemokratyczne rządy.

W Nikaragui doszło wręcz do spektakularnego propagandowego wykorzystania wizyty Jana Pawła II przez rządzącą ówcześnie lewicową juntę. Ołtarz na placu w Managui zbudowano na tle wielkiego muralu przedstawiającego ikony rewolucji, w tym tow. Augusto Césara Sandino. Na okrągło puszczano też „Himno a la Unidad Sandinista", czyli rewolucyjną pieśń nowej władzy.

Podczas Mszy św. komuniści przerywali homilię papieża hasłami popierającymi oficjalną, kontrolowaną przez państwo teologię wyzwolenia. Jan Paweł II musiał nieźle się nakrzyczeć uciszając hałasujący tłum słowami: „¡Cuidado, la Iglesia es una!" („Cisza! Kościół jest jeden!").

Lucjan Strzyga



Mirosław Olszycki Olsensis, „Krzyż i kartele", wyd. ZonaZero, Warszawa 2026, cena 59,90 zł

HISTORIA/ OBYCZAJE

W czym rozczytywali się Mezopotamczycy?

Ostatni wielki władca Asyrii, Aszurbanipal (VII w. przed Chrystusem), wizjonersko stworzył bibliotekę, która była skarbnicą niemal całej ówczesnej wiedzy. Zgromadził w niej tysiące glinianych tabliczek zapisanych pismem klinowym, obejmujących pradawne tradycje religijne, literaturę, a także najnowsze odkrycia w medycynie i magii. Aszurbanipal był człowiekiem wykształconym, potrafił czytać i pisać, ale na co dzień wolał inne zajęcia, choćby podbijanie Egiptu i wojnę z Babilonem. W bibliotece wciąż siedzieli jego skrybowie, astrolodzy, lekarze i kapłani, którzy tworzyli elitę tej prastarej cywilizacji.

Studiując opis pieca

Dr Selena Wisnom, specjalistka od Asyrii i pisma klinowego, autorka „Tajemnic Mezopotamii" potwierdza, że biblioteka Aszurbanipala znajdowała się w Niniwie, gromadząc ok. 30 tys. glinianych tabliczek zapisanych pismem klinowym, zawierających poezje oraz teksty filozoficzne, medyczne, historyczne, astronomiczne i prawniczo-urzędowe.

O zmyślności Mezopotamczyków świadczy fakt, że wśród zachowanych do dziś tekstów znajdują się fragmenty najstarszej znanej księgi alchemicznej „Wrota pieca", zawierającej opis pieca alchemicznego oraz różnych sekretów alchemicznych. Wymienione są w niej nazwy metali połączone z bóstwami: srebro – Anu (Niebo), miedź – Ea (Powietrze). Traktat ten zawiera ponadto wyraźną tezę o przemianie metali.

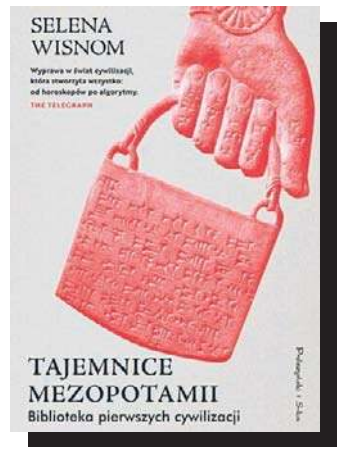
Gilgamesz rozpala wyobraźnię

Opis pieca, choćby nawet alchemicznego, blednie przy innej księdze z Niniwy – eposie o Gilgameszu, zawierającym m.in. fragmenty o raju i potopie. To jeden z najważniejszych utworów w historii starożytnego Bliskiego Wschodu. Jego kopie powstawały aż do końca istnienia pisma klinowego.

Sam epos to wypis z przygód herosa podróżującego po ziemskim świecie. Gilgamesz jest tu po części człowiekiem, po części bogiem. Funkcjonuje doskonale w obu światach, co dla mieszkańców starożytnej Mezopotamii nie było niczym szokującym: boski świat był ściśle związany z rzeczywistością tu i teraz, a ponadto z astronomią i znakami zodiaku.

Zodiak jest tu widoczny dość wyraźnie, a pojawiające się symbole: Panna (Isztar), Niebiański Byk (Byka), sąd bogów nad Enkidu (Waga), korespondują z wojenno-romansowymi perypetiami Gilgamesza. Nic dziwnego, że legendy o bibliotece Aszurbanipala żyją do dziś.

Mariusz Grabowski



Selena Wisnom, „Tajemnice Mezopotamii", wyd. Prószyński i S-ka, Warszawa 2026, cena 99 zł

eprasa.pl dcbe6e08c7

100 WPŁYWOWYCH KOBIET

Poznaj bohaterki akcji, które inspirują i zmieniają rzeczywistość

100 wpływowych KOBIET

Przed nami decydująca faza głosowania w akcji 100 Wpływowych Kobiet! To od Waszych głosów zależy, które uczestniczki wystąpią w ogólnopolskim finale tegorocznej edycji.

W pierwszym etapie plebiscytu, który właśnie trwa, wyłonione zostaną laureatki wojewódzkie. Poznamy je już 1 października, a 5 października rozpocznie się wielki finał ogólnopolski. W nim rywalizować będą uczestniczki z całego kraju, w tym także oczywiście z naszego województwa.

Nasza akcja to także okazja, by poznać je bliżej, również z mniej formalnej strony.

- Wśród bohaterek tegorocznej edycji znalazły się przedstawicielki różnych środowisk, zawodów, a także pokoleń. Każda z nich ma własną historię, doświadczenia i wartości, które pomogły jej dojść do miejsca, w którym jest dziś - mówi Ewelina Żuberek, która opiekuje się akcją od strony redakcyjnej.

Dziś prezentujemy galerię zdjęć bohaterek plebiscytu, a na naszej stronie internetowej już możecie czytać wywiady z wieloma uczestniczkami redakcyjnej akcji 100 Wpływowych Kobiet 2026.

- Znajdziecie tam nie tylko ich zdjęcia, ale także odpowiedzi na pytania, dzięki którym można lepiej poznać sposób myślenia uczestniczek, ich życiowe priorytety, dowiedzieć się, co je inspirowało, jakie osoby i doświadczenia ukształtowały ich drogę - zachęca do lektury dziennikarka. Ich odpowiedzi pokazują, jak różne mogą być drogi do sukcesu, spełnienia i zdobywania wpływu.

- To szczere, osobiste historie o wyzwaniach, pasji, ważnych decyzjach i wartościach, które pomagają kształtować własne życie, a także inspirować innych do działania - uważa Ewelina Żuberek. Warto poznać historie stojące za twarzami ze stron gazet. - Być może to właśnie jedna z bohaterek galerii zdjęć zdobędzie Wasze uznanie, dzięki swoim osiągnięciom, postawie życiowej oraz drodze, która może sprawić, że również inni zdecydują się wprowadzić pozytywne zmiany - zachęca dziennikarka.

Więcej o akcji znajdziecie na: polskanews.pl/100-kobiet

PREZENTUJEMY KANDYDATKI, KTÓRE AKTUALNIE ZAJMUJĄ CZOŁOWE MIEJSCA W WOJEWÓDZTWIE MAZOWIECKIM



Agata Bednarek, prezeska Zarządu Fundacji Dr Clown, Warszawa



Zenobia Żaczek, działaczka społeczna, współzałożycielka Komitetu Obrony Praw Lokatorów, Warszawa



Edyta Krześniak, dziennikarka, autorka książek, Warszawa



Maria Świerczyńska, dyrektor Zespołu Szkół Budowlanych, prezes Olimpijczyka Radom, Radom



Iwona Borawska, founderka i CEO The Process, interim managerka i doradczyni biznesowa, Warszawa



Klaudia Węcław, policjantka, Warszawa



Marta Rodzik, ekspertka ds. wizerunku i public relations oraz szefowa Rodzik Agency PR, Warszawa



Martyna Guba, twórczyni projektu Odcienie Kobiecości, Warszawa



Małgorzata Socha, influencerka, Warszawa



Beata Drozdowska, dyrektor Łaźni Radomskiego Klubu Środowisk Twórczych i Galerii, Radom



Wioletta Kotkowska, dyrektor Mazowieckiego Centrum Sztuki Współczesnej Elektrownia, Radom



Edyta Dawiskiba, mentorka i instruktorka Witalna Forever, Warszawa

eprasa.pl dcbe6e08c7

WARSZAWA

Warszawa walczy laserem z wandalami. Technologia na ratunek zabytkom

Maciej Koprowicz

Lasery są wykorzystywane do usuwania z elewacji historycznych budynków bazgrołów.

Na pewno miejscem, które powinno być wolne od graffiti, są ściany historycznych kamienic, takich jak ta przy ulicy Marszałkowskiej 28. Monumentalny budynek z 1952 r. o trzech elewacjach frontowych wchodzi w skład Zespołu Budowlanego MDM III (tzw. osiedla Latawiec). Na parterze znajdują się lokale użytkowe, w tym Kino Luna.

Frontowe elewacje parteru budynku okryte są okładziną kamienną. W ostatnim czasie była ona niemal w całości pomazana „dziełami" pseudograffiziarzy. Nakładały się one na siebie latami, tworząc warstwy farby. Powierzchnię, z której trzeba usunąć bazgroły wyliczono na blisko 1680 mkw.

Właśnie rozpoczęły się w tym miejscu prace polegające na oczyszczeniu elewacji budynku. Są one możliwe dzięki miejskiej dotacji w wysokości 200 tys. zł, którą otrzymała wspólnota mieszkaniowa. Kwota ta pokryła 64 proc, kosztów czyszczenia.

Ekipa czyszcząca wykorzystuje najczęściej laser i gorącą parę wodną, a gdy to nie wystarcza, w ruch idą środki chemiczne lub ręczna szlifierka. W niektórych miejscach, niestety, barwniki z farb w sprayu i markerów tak mocno związały się z kamienną okładziną, że wniknęły w strukturę kamienia na znaczną głębokość, co sprawia, że nie da ich się bezpiecznie usunąć dostępnymi metodami. Wówczas pozostaje już tylko wymiana całego zniszczonego elementu kamiennego lub miejscowe zamalowanie.

Po oczyszczeniu na ścianach kamienicy położony zostanie preparat antygraffiti.

Zdemontowali słynny neon Kina Muranów. Teraz zastąpi go nowy

W Kinie Muranów trwa remont elewacji i schodów nad kinem. Przy tej okazji zniknął czerwony neon, który od lat 90. był znakiem rozpoznawczym kina. W jego miejscu pojawi się nowe oznaczenie kultowego miejsca

Martyna Konieczek



FOT. MATEUSZ ŁUBA

Z kina Muranów zniknął charakterystyczny czerwony neon

Kino Muranów powstało po II wojnie światowej - zostało otwarte w 1951 roku na terenach dawnego warszawskiego getta. Od lat 90. na jego elewacji znajdował się charakterystyczny czerwony neon. Przez lata stał się jednym z najbardziej rozpoznawalnych elementów kina i na dobre wpisał się w krajobraz tej części Warszawy.

Dlatego spore zainteresowanie wywołało zdjęcie opublikowane przez Kino Muranów w mediach społecznościowych, na którym widać trwający remont. Okazało się, że nie chodzi tylko o odświeżenie elewacji i schodów nad kinem. W ramach prac dotychczasowy neon został zdemontowany i nie wróci już na swoje miejsce. Kino zapowiedziało, że zastąpi go nowy, nawiązujący do typografii z lat 50.

– W związku z wieloma zapytaniami, co się u nas dzieje i czy jesteśmy czynni, odpowiadamy: trwa remont elewacji i schodów nad kinem, ale jesteśmy OTWARCI! (...) Choć bardzo się cieszymy na nową elewację, cały proces wiąże się ze zmianami w wyglądzie zewnętrznym kina. Bowiem poza świeżą fasadą Muranów zyska i NOWY NEON! Dawny został już przez nas pożegnany i zdemontowany, nowy pokażemy już wkrótce – poinformowało Kino Muranów w mediach społecznościowych.

W komentarzach szybko pojawiły się pytania o powód tej decyzji. „To jak zmiana znaku rozpoznawczego. Po co?" – napisała jedna z osób. „A dlaczego zmieniacie neon? Dawny był Waszą wizytówką" – pytał inny internauta.

Kino tłumaczy, że remont jest związany z wpisaniem Muranowa Południowego do rejestru zabytków. Decyzja w tej sprawie uprawomocniła się na początku 2024 roku. O objęcie osiedla ochroną konserwatorską od lat zabiegali sami mieszkańcy.

– Remont ma przywrócić charakter pierwotnej powojennej elewacji. To cofnięcie się do początków kina i decyzja konserwatora zabytków. Elewacja zostanie przywrócona do tej z początku funkcjonowania kina – wyjaśnia kino.

Co stanie się ze starym neonem? Kino Muranów odpowiada, że chce, by trafił w miejsce związane z historią Warszawy. W tej sprawie trwają rozmowy. Pojawiły się też pytania o możliwość zakupu pojedynczych literek z neonu. Kino wyjaśnia, że nie planuje ich sprzedaży – chce, by neon w całości trafił w dobre ręce.

Kino Muranów nie jest jedynym warszawskim kinem, na które wraca dawny neon. W marcu tego roku na fasadę Kina Tęcza na Żoliborzu powróciły dwa kultowe neony zaprojektowane w XX wieku przez Magdalenę Byczyńską. Spod jej ręki wyszły także szyldy kin: Praha, Polonia, Bajka, Kultura, Wars.

Otwarcie kina, które stanie się siedzibą Centrum Kultury Filmowej im. Andrzeja Wajdy, zaplanowano na listopad tego roku.

DROBNE

Nieruchomości

MIESZKANIA - KUPIĘ

INNE

Kupię mieszkanie zadłużone, z trudnym lokatorem, komornikiem, udziały. Gotówka, 883-402-202

Handlowe

MASZYNY URZĄDZENIA

KUPIMY maszyny do obróbki metalu i drewna. Tel.: 782-592-790.

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy, turnus 7dniowy od 1250zl. Ful opcja, cisza, spokój, natura, miodowyraj.pl 501642492.

Zdrowie

ZABIEGI

BUSKO-ZDRÓJ, Pensjonat Sanato. Pobyty lecznicze i wypoczynkowe. Zadzwoń już dziś i zapytaj o cenę Tel:41/378-19-48, 696 958 319 www.sanato.com.pl

Różne

KASA za stare książki 609-643-399

Rolnicze

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%, K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.200 zł/tona, 500-669-621

AUTOREKLAMA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne
w Twojej gazecie przez
Internetowe Biuro Ogłoszeń.
Bez wychodzenia z domu.



ibo.polskapress.pl

REKLAMA 0111562220

FIRMA SPRZEDA budynek przemysłowy w Poznaniu przy ul. Malwowej 158.



Powierzchnia użytkowa budynku – 3202,80 m², powierzchnia gruntu – 0,8701 ha.

Tel. kontaktowy 603 920 399

eprasa.pl dcbe6e08c7

PIŁKA NOŻNA

Jan Urban dziś ogłosi powołania na Ligę Narodów

Po nieudanym barażu o mundial i nijakich czerwcowych meczach towarzyskich kibice oczekują nowego otwarcia w piłkarskiej reprezentacji Polski. Czy kadra dowodzona przez Jana Urbana udźwignie narastającą presję?

Adam Godlewski



FOT. SYLWIA DĄBROWA / POLSKA PRESS

Jedną z nowych osób na zgrupowaniu kadry kierowanej przez Jana Urbana będzie II trener Kibu Vicuna

Już dziś, o godz. 9.00, selekcjoner Jan Urban ogłosi powołania. Wydarzenie zostało zaplanowane w nowej formule, w asyście kamer – transmisja na platformie PZPN+ - selekcjoner zaprezentuje i omówi skład, podczas rozmowy prowadzonej przez Cezarego Kowalskiego, szefa komunikacji związku.

Oczywiście, fanów nurtuje wiele pytań. Jak trener rozłoży proporcje między zawodników z klubów zagranicznych i z PKO Ekstraklasy i czy notowania Kacpra Urbańskiego po przenosinach do Zabrza wzrosły na tyle, że znajdzie się wśród wyróżnionych? Kto ze skutecznie punktującej Legii przekonał selekcjonera i jak liczna będzie delegacja z Jagiellonii (która całkiem dobrze radziła sobie w Pireusie w Lidze Europy z Olympiakosem, ale ostatecznie uległa 1:2) oraz Lecha, który wczoraj wieczorem zdawał egzamin na stadionie Crystal Palace?

Z góry można przyjąć założenie, że kadrowa rewolucja byłaby nie tyle niespodzianką, co wręcz sensacją. Próby poczynione w czerwcu z nowicjuszami były średnio obiecujące, dlatego – oprócz skutecznych w ligach zagranicznych Wiktora Nowaka z czeskiej Slavii Praga i Adriana Benedyczaka z tureckiej Kasimpasy – z dużą ostrożnością należy nastawiać się na innych debiutantów w kadrze Urbana. Nawet mając w pamięci, że pod obserwacją sztabowców było blisko 40 zawodników występujących w klubach zagranicznych; łącznie z 19-letnim Bartoszem Mazurkiem z austriackiego Red Bull Salzburg.

Wśród „stranierich" na radarze ludzi Urbana znalazło się aż 6 golkiperów (w ubiegłym i/lub w obecnym sezonie zgłoszonych w innych ligach): Marcin Bułka, Kamil Grabara, Mateusz Kochalski, Radosław Majecki, Bartosz Mrozek i Łukasz Skorupski. O ile do niedawna o pozycję numer jeden między słupkami walczyli Grabara ze Skorupskim, to – na logikę – teraz do rywalizacji powinni włączyć się regularnie grający w klubach Bułka z Majeckim.

Dla nikogo nie było tajemnicą, że sprawy organizacyjne – od początku kadencji Urbana w PZPN – dopinał zmarły nagle w kwietniu Jacek Magiera. Uczestnicy czerwcowego zgrupowania nie kryją, że brak nieodżałowanego „Magica" był aż nadto odczuwalny, bo nic nie układało się wówczas tak płynnie, jak wcześniej. Czy podobne zdolności (i kompetencje!) ma Kibu Vicuna, nowy II trener kadry – przekonamy się wkrótce. Hiszpan, od lat zaufany człowiek Urbana, zaczyna z wysokiego C, bo tak złożonego zgrupowania dotąd (poza przygotowaniami do turniejów finałowych) PZPN jeszcze nie przeprowadzał. Do 5 października zaplanowano aż 4 mecze w Lidze Narodów – dwa na Stadionie Narodowym w Warszawie (25.09 z Bośnią, 2.10 z Rumunią), ale gospodarzami starć Biało-Czerwonych będą też podsztokholmska Solna (28.09) oraz bośniacka Zenica (5.10 – wszystkie spotkania o 20.45).

Jeśli chodzi o bazy reprezentacji Polski podczas najbliższego zgrupowania, to krajowe będą dwie – tradycyjnie już Double Tree by Hilton w stołecznym Wawrze, a dodatkowo hotel Bonifacio usytuowany w Sochocinie pod Płońskiem, gdzie znajduje się kompleks boisk zaakceptowanych przez sztab – przez 3 dni. Kadra wracając ze Sztokholmu wyląduje na lotnisku w Modlinie i uznano, że zakwaterowanie w pobliskim ośrodku będzie najlepszym rozwiązaniem.

Zgrupowanie oficjalnie rozpocznie się w poniedziałek, 21 września, ale pierwszy trening Urban zaplanował dopiero na wtorkowe południe. Po nim odbędzie się pierwsza konferencja, z udziałem selekcjonera i kapitana Roberta Lewandowskiego, którego otoczenie – jak się okazało – nawet nie próbowało negocjować w PZPN przylotu napastnika na jedno tylko spotkanie (takie były medialne „rewelacje"); ani z selekcjonerem, ani z otoczeniem Urbana. Wczoraj, w wywiadzie dla WP, „Lewy" zdementował zresztą zdecydowanie, że w ogóle świtał mu taki pomysł... ©℗

SIATKÓWKA

Grbić między Bułgarią a Łotwą: Jest dużo lekcji, które musimy odrobić

Jacek Kmiecik

Polscy siatkarze w ostatnim meczu grupowym doznali pierwszej porażki w mistrzostwach Europy, przegrywając z Bułgarią 2:3.

Po środowej porażce Grbić przyznał, że w starciu z aktualnymi wicemistrzami świata Polacy podjęli kilka złych decyzji, z których muszą wyciągnąć wnioski, ale było też kilka pozytywnych elementów.

– Była to ostatnia okazja, żeby przegrać mecz. Myślę, że jest dużo lekcji, które musimy odrobić. Nie wszystko było źle. Oczywiście, kontrolowaliśmy spotkanie do połowy drugiego seta, mieliśmy okazję go wygrać, nawet wygrać 3:0. W trzecim secie też mieliśmy możliwości. Z dobrych rzeczy, to wróciliśmy z wyniku 1:2. Wróciliśmy do tego spotkania, gdzie w tie–breaku przegrywaliśmy 6:10, a później mieliśmy meczbola – wymieniał trener.

– Ale kilka akcji w trudnych momentach, w ważnych momentach nie wykonaliśmy dobrze. Technicznie też nie graliśmy dobrze w kilku sytuacjach, w których musimy być lepsi. I tyle. Był to trudny mecz, jak się spodziewaliśmy, ale mam nadzieję, że będziemy grać jeszcze raz z nimi – dodał Serb, czym nawiązał do drabinki, z której wynika, że Polska i Bułgaria mogą ponownie spotkać się w ćwierćfinale.

Bułgarzy przed starciem z Polakami nie prezentowali się najlepiej, zanotowali porażkę z Ukrainą 1:3 i stracili seta z Izraelem. W środę pokazali jednak jakość, którą zachwycili kibiców rok temu w mistrzostwach świata na Filipinach. Pomogło im wsparcie wypełnionych po brzegi głośnych trybun.



FOT. PAP/DAREK DELMANOWICZ

Spotkanie z Bułgarią było najtrudniejszym dla Polaków, wcześniej bez większych problemów odnieśli cztery zwycięstwa

Spotkanie z Bułgarią było najtrudniejszym dla Polaków w fazie grupowej, wcześniej bez większych problemów odnieśli cztery zwycięstwa 3:0 z niżej notowanymi rywalami. Grbić zwrócił uwagę, że tak trudny mecz może wyjść jego podopiecznym na dobre.

– Może to być dobra rzecz, że przegraliśmy ten mecz. W takim sensie, że musimy się obudzić w kilku aspektach. I może nam to pomóc wprowadzić zmiany, które my widzimy poza boiskiem. Bo jeśli się dogadujemy, jak robić kilka rzeczy, które są ważne taktycznie, to musimy je wykonywać. Musimy być precyzyjni. Będziemy oglądać wideo i pokażemy, co jest ważne, czego możemy się nauczyć i walczymy dalej – zaznaczył szkoleniowiec.

Mecze 1/8 finału w Sofii zostaną rozegrane w sobotę i niedzielę. Polska zagra z Łotwą w sobotę o 15.00.

eprasa.pl dcbe6e08c7

program interwencyjny w TVP
samolub, egoista
woźny z „Pana Tadeusza”
dawny urzędnik rzymski: elektroda + / wolna posada
wiersz do młodości
wśród protestantów
korek na drodze: rodzaj bułki
część dworca kolejowego
miecznik: choroba jak karma
Pięcioksiąg
ptak łowny
małpa wąskonosa: rodzaj bicza / krzew owocowy
dawny żaglowiec
denna lub czołowa
tybetański ssak
twórca dzieła
w dal lub wzwyż / skrócony podpis / szatan
np. Wisła / geniusz, talent
toksyna botulinowa
kraj nad Zatoką Gwinejską
spiekota, skwar
port nad Ruhrą
jałowość narzędzi
sposób działania
wypoczynkowy ganek
mamona, forsa
budowla bobrów
dawna złota moneta
materiał do krycia dachów
część meczu siatkówki
schodki na statek
cicha ... brzegi rwie
azjatycki sport walki
kobiece imię jak kwiat
stolica Apulii (Włochy)
dobry gust / druh Aramisa
rzecz nietykalna
zasadnicza w wojsku
indyjski krezus
przeciwnik kasiarza Kwinty
okręg, rewir
zabytkowy mebel
wysoki mężczyzna
gaz szlachetny
biały sport / auto terenowe
kres wyścigów
imituje wybuch pocisku
mowa środowiskowa
ogrom zajęć
rybi tłuszcz
hymn pochwalny
król bez Ziemi
... Ryan, aktorka z USA / poroże jelenia
wypiek ze świeczkami
kapitan „Nautilusa”
indyjski biedak / śmieszność / kukła krawiecka
dzwonek w talii kart
ptak-śmieszka
nielot z Nowej Zelandii
konie pociągowe / część liścia
ptak leśny, bargiel
sumiaste, pod nosem
kolor wrzosu
imię Winslet, aktorki
doskonały muzyk
koszyczek ostu
góry z Narodną
cieszy hurtownika
byt doskonały / Peter, angielski reżyser teatralny
zasiali go górale
druk reklamowy
wioślarskie zawody / syn Tezeusza
irański złoty
azjatycka pustynia
imię Turner
konkurenci z boiska / środek czyszczący
ryzykowna wyprawa
kobiecy wdzięk / stawiany przez astrologa
tkanina ze stolicą w nazwie / wynalazek Gutenberga
wojenne zdobycze
metalowe wiązanie przy narcie
ogół świeckich w kościele
starogrecki rynek
pocztowy na kopercie
szary, miękki metal
płynie przez Bory Tucholskie
gouda lub parmezan
odpowiada w lesie
schyłek baroku
port w Norwegii
element tranzystora
czarna w rodzinie
... królowej, motyl
smaczny kawałek czegoś jadalnego / stolica Togo
domowa siatka do skoków
miele zboże / krach finansowy
bar-bakan
dopływ Wisły / wigilijna ryba
płynie przez Kościan i Gostyń
dawne polskie zakłady radiowe / egipski chrześcijanin
rzeka jak kobiece imię
groźny narkotyk
w nim odcisk pieczęci
reżyser filmu „Lalka”
święty byk egipski
polski port rybacki
gatunek nietoperza
konkurs z pytaniami
stan w USA
prezydencki sprzeciw
część Krakowa / zjawia się w koszmarze sennym
porcja kurczaka
foka obrączkowana
przyprawa kuchenna
figiel, psikus
stalowy lub niebieski
zespół trzech muzyków
„Zbrodnia i ...”

AUTOPROMOCJA 0310987243

Twoja gazeta w prenumeracie z Tele Magazynem

tel. 12 312 53 88
bok.prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

SŁOWNIK: BRETONY, BROOK, KANDAHAR, MORENA, NERPA.

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29	30	31	32

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 32 utworzą rozwiązanie: Władysława Grzeszczyka.

ROZWIĄZANIE: PŁONNE NADZIEJE PRZEWAŻNIE NIE GASNĄ.

eprasa.pl dcbe6e08c7